ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 2(75) • Luty 2012 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Wiem, ale nie powiem...

Członkowie Kapituły złożyli śluby milczenia, że nie ujawnią do chwili ogłoszenia 16 lutego - kogo wybrali Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej za rok 2011. Czy jest to kobieta, czy mężczyzna, a może para? Milczymy jak grób.

Nie ujawniając jednak kto zacz, można już teraz pokusić się o małą refleksję.

Przede wszystkim odzew społeczny na ogłoszenie, że wybory będą - nie był oszałamiający. Rozmawialiśmy, zachęcaliśmy - zgłoszono 17 kandydatów (jednego musieliśmy skreślić, wszak z grona „kapitulantów" wybierać nie wypada). Szczerze powiedziawszy, biorąc pod uwagę, co się działo w 2011 roku w samej tylko Złotoryi, propozycji mogło być przynajmniej dwa razy tyle. Ale cóż, nie od dzisiaj wiadomo, że wolimy raczej ganić niż chwalić. Gdyby ogłosić wybory w kategorii odwrotnej, pewnie typów byłoby więcej.

Z drugiej strony może to i dobrze, że nie wszystkim się chciało, bo i przy tej szesnastce trzeba było się mocno zastanowić.

Ci, którzy odradzali przeprowadzanie takiego plebiscytu, mówili, że więcej można sobie przysporzyć kłopotów niż radości, ja natomiast uważam, że nic tak nie zniechęca do pracy, w tym społecznej, jak obojętność. Każdy, może tylko jeden mniej, a drugi więcej, potrzebuje akceptacji, poklepania po ramieniu, nawet gdy wiąże się to z jakąś uszczypliwością - grunt, że jest odzew. Bo jaki jest sens robić cokolwiek, gdy innym jest zupełnie to obojętne. Ile można karmić samemu własną satysfakcję?

Na pewno znajdą się i tacy, którym wybór dokonany przez Kapitułę nie przypadnie do gustu, być może zadadzą pytanie, dlaczego ten - ta - ci, a nie inny - inna - inni? I bardzo dobrze, będę się martwił, gdy nikogo to nie poruszy. Bo najgorsza jest obojętność.

Pięć kandydatur i jak zmierzyć tę ulotną wartość, jak porównać? Szczerze powiedziawszy nie sądziłem, że będzie to tak trudne. Bo każda z tych kandydatur doskonale się broni. Ktokolwiek z tej piątki otrzymał tytuł, trudno byłoby znaleźć sensowny argument, że nie zasługuje na miano Człowieka Ziemi Złotoryjskiej.

Postanowiliśmy jednak na początku, że tytuł jest jeden, więc taki i jest wybór. Człowiekowi Ziemi Złotoryjskiej gratuluję tytułu i mam dziką satysfakcję, że (o ile się oczywiście zgodzi) będzie musiał - musiała - musieli za rok podjąć trud następnego wyboru. Natomiast przed wszystkimi nominatami: panem Aleksandrem Borysem, panem Mirosławem Kopińskim, państwem Eweliną i Krzysztofem Rozpędowskimi, panią Pauliną Rutą-Kaczmarską oraz panią Anetą Wasilewską chylę czoła, bo to co zrobiliście w 2011 roku jest wielkie i zasługuje na uznanie, na oklaski, na wdzięczność współmieszkańców naszej małej ojczyzny, na poczucie satysfakcji z dobrze wykonanej pracy.

W imieniu redakcji „Echa Złotoryi" dziękuję członkom kapituły: panu Zenonowi Bernackiemu, panu Romanowi Gorzkowskiemu, panu Alfredowi Michlerowi (przewodniczącemu Kapituły), pani Iwonie Siwińskiej, panu Bogusławowi Szyi oraz pani Kazimierze Tuchowskiej za przyjęcie zaproszenia do tego ciała. Dziękuję również panu Staroście Józefowi Sudołowi, że zgodził się objąć patronatem nad tym przedsięwzięciem, podnosząc tym samym jego rangę.

Robert Pawłowski

Pan Kasztelan

Iwona Pawłowska: Kim był Zenon Bernacki, zanim został kasztelanem na zamku Grodziec?

Zenon Bernacki: Byłem dyrektorem Ośrodka Kultury i Sportu w Pielgrzymce, przewodniczącym Rady Gminy Pielgrzymka, delegatem sejmiku woj. legnickiego, a przed samym objęciem funkcji kasztelana – dyrektorem biura posła PSL Tadeusza Samborskiego.

I miał Pan niedosyt wrażeń? Trzeba było podjąć się nowego zadania?

To, że zająłem się zamkiem, jest zupełnym przypadkiem. W 1998 roku po otrzymaniu Złotego Klucza Sukcesu przez Ośrodek Kultury w Pielgrzymce ze strony ówczesnych władz zaczęły się jakieś dziwne ruchy wokół ośrodka i osób w nim pracujących, co zakończyło się uchwałą likwidującą placówkę.

Komu przeszkadzał dobrze funkcjonujący ośrodek?

Kilku radnym. Zmanipulowali też inne osoby, miedzy innymi nauczycieli, którym obiecali, że teraz pedagodzy będą zajmować się kulturą. Argumentem nie do odrzucenia były kwestie finansowe. Sugerowano, że gmina dużo zaoszczędzi na likwidacji ośrodka. Nie liczyło się to, że zdobyliśmy prestiżową nagrodę, że funkcjonowało pięć zespołów folklorystycznych…Mnie zaproponowano pracę w Urzędzie Gminy, ale z pełną premedytacją, bo było wiadome, że jeśli ją przyjmę, to będę musiał zrezygnować z mandatu radnego. I będą mnie mieć z głowy.

Naraził się Pan komuś?

Naraziłem się i nadal narażam, bo jestem człowiekiem dość bezpośrednim, wyczulonym na zło i reagującym na nie. A to się wielu ludziom nie podoba. A wtedy drażniło mnie wiele spraw, między innymi wygrywanie przetargów wciąż przez te same osoby czy odraczanie w nieskończoność podatków, co skutkowało pomniejszeniem dochodów gminy.

To z tych powodów skierował się Pan w stronę zamku?

To nie ja się skierowałem, ale do mnie się skierowano. W kwietniu 2002 roku, jadąc z Kongresu Gmin Wiejskich z Warszawy, usłyszałem od wójta Słoniny, że powinienem się zdecydować na przejęcie zamku Grodziec, który właśnie gmina odzyskała po kilkuletnim procesie i musiała w jakiś sposób obiekt zagospodarować. Wtedy pracowałem w biurze poselskim i doszedłem do wniosku, że lepiej dojeżdżać codziennie kilka kilometrów, a nie kilkadziesiąt. To nie był jedyny argument za objęciem posady na zamku. Zdobyłem już doświadczenie w pracy polegającej na zarządzaniu ośrodkiem, a poza tym miałem obietnicę pomocy ze strony urzędników. Przy czym dawano mi pełną swobodę w tworzeniu przyszłej koncepcji funkcjonowania zamku. To wszystko sprawiło, ze od 1. lipca 2002 roku zostałem kierownikiem Zakładu Usług Turystycznych z możliwością używania tytułu kasztelana zamku Grodziec. Kasztelanów w Polsce jest zaledwie kilkunastu.

Jak wyglądał zamek w chwili, gdy Pan go przejął we władanie?

Nie było tam nawet jednego krzesła ani ławki. Na zamku wcześniej był dzierżawca, który skonfliktowany z gminą nic w ostatnich latach dla tego obiektu nie robił, a gdy przegrał proces, to wszystkie rzeczy z wyposażenia zaprzepaścił. W tej sytuacji musieliśmy szybko załatwiać jakieś meble dla zamku. Proboszcz z Pielgrzymki wspomógł nas łóżkami, stolarze zrobili nam ławki, stoły. Ze środków, które zaczęliśmy wypracowywać z biletów i imprez powoli meblowaliśmy zamek. Część prac remontowych finansowała gmina. Dach przeciekał a nie mogliśmy się doprosić środków na jego wyremontowanie. Kuchnia była wtedy jeszcze w opłakanym stanie. Podobnie fundusze na wynagrodzenia dla pracowników.

Nie miał Pan wtedy wrażenia, że obejmując zamek, wszedł na minę?

Był taki moment. Kiedyś przyjechał na zamek poseł Samborski z grupą kilku osób, popatrzył dookoła, a potem ze współczuciem na mnie i powiedział: *Słuchaj, ja bym tu nawet 10 minut nie siedział, ale ty jesteś wizjonerem i może ci się coś uda z tym zrobić.* Prawdę mówiąc, gdybym miał inne, lepsze oferty pracy wtedy, to bym pewnie nie został kasztelanem na Grodźcu. Ale potem już się w to wszystko wciągnąłem.

Szczególnie kiedy Grodziec zaistniał w telewizji?

Pod koniec 2003 roku zgłosili się do nas ludzie mówiący dziwnym językiem. Kazali się oprowadzić po zamku, pooglądali wszystko i pojechali. Po kilku tygodniach z Warszawy dostajemy wiadomość, że Szwedzi są bardzo zainteresowani współpracą przy produkcji średniowiecznego reality show. Jako niepoprawny optymista, widziałem, jakie to przyniesie profity dla zamku, ale szybko ostudzono mój entuzjazm, bo władze gminy uznały, że wychodzę przed szereg. I natrafiłem na ogromny opór materii. Szlag mnie trafiał, szukałem różnych sposobów zmiękczenia urzędników, aż wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i uznał, że gmina też może coś mieć ze współpracy ze Szwedami. Topór został zakopany, ale pieniądze, które zamek miał zarobić na programie, gmina uznała za swoje.

To jakie profity miał z tego zamek?

To wszystko, co Szwedzi, kręcąc program tu zainwestowali. Głównie mam na myśli infrastrukturę, z której korzystamy do dziś, instalacje, podłogi (gdy ktoś oglądał „Wiedźmina, to wie, jak podłogi wyglądały wcześniej - sam piach, jak na plaży).

Po emisji szwedzkiego programu „Rikiet" posypały się inne propozycje współpracy z telewizjami?

W 2005 roku zostaliśmy zaproszeni do Szwecji, do Sztokholmu na Targi Gościnności. Tam mieliśmy swoje stanowisko, zorganizowane przy pomocy organizacji turystycznych w Polsce. Wydrukowano nam foldery z zamkiem na okładce i napisem sugerującym, że na Grodźcu właśnie kręcono program „Rikiet" (widzowie szwedzcy nie mieli o tym pojęcia). Wzięliśmy ze sobą makietę zamku, potrawy typowe dla naszej kuchni dolnośląskiej, nalewki. Pozwolono nam również na oficjalne reprezentowanie programu „Rikiet". Chylę czoła przed ambasadorem Markiem Prawdą, który najpierw pomógł nam znaleźć tanie lokum na tygodniowy pobyt w Szwecji, a potem, kiedy odwiedził nasze stoisko, poprosił mnie o współgospodarzenie na uroczystości wydanej na naszą cześć (urzekł go mój strój).

Współpraca ze Szwedami przyniosła owoce. Twórcy programu „Rikiet" wystawili go na targach telewizyjnych i sprzedali licencję innym krajom, najpierw Francuzom, Belgom i Holendrom, a potem Rosjanom. Najlepiej współpracowało nam się właśnie z Rosjanami. Nie byli tak tajemniczy jak inne ekipy, pozwalali być na planie, podglądać, co się dzieje. Inna sprawa, że reżyser zaproponował mi nawet rolę w programie „Imperia" i to obok wielkiej gwiazdy – mistrza Daniela Olbrychskiego. Przez ponad miesiąc byliśmy kolegami z planu.

Słyszałam, że pan Olbrychski miał jakąś niemiłą przygodę na planie.

W pojedynku z Czarnym Wiesławem z Grodźca (Wiesław Surówka) na polach przed Grodźcem spadł z konia tak niefortunnie, że przestał oddychać. Zrobiła się wielka panika, wezwaliśmy pogotowie i został zawieziony do szpitala w Złotoryi. Ale po dwóch godzinach pan Olbrychski wrócił na plan. Dodam, że bardzo zadowolony z opieki w naszym szpitalu, gdzie zajęto się nim szczególnie. Ale muszę powiedzieć, że nie był to jedyny kontakt „naszych" obcokrajowców ze złotoryjską służbą zdrowia. Już w drugim dniu kręcenia „Rikietu" jedna z uczestniczek mocno zachorowała, wyniesiono ją przed bramę (Szwedzi mocno strzegli tajemnicy programu), skąd zabrała ją karetka. Leżała pewien czas w szpitalu i potem bardzo sobie chwaliła ten pobyt. Do tego stopnia rozreklamowała złotoryjski szpital, że gdy potem innej osobie z ekipy coś się stało w Legnicy, to kazała się zawieźć do Złotoryi na Hożą.

Na tych naszych programach nie tylko zyskał prestiż złotoryjskiego szpitala, ale i kasa legnickiego hotelu Qubus. W 2005 roku sprzedano dodatkowo 19 tysięcy noclegów, bo przecież ekipy filmowe właśnie tam były zakwaterowane.

Współpraca ze Szwedami i Rosjanami pokazała, że na zamku można zarabiać przez promowanie go w mediach.

Uznałem, że to najlepszy sposób na pozyskanie pieniędzy. Chciałem przyciągać tu ludzi, zarówno mieszkańców okolicy (co było trudniejszym zadaniem) jak i z zewnątrz. I to się udało. Zrobiłem kalendarze imprez i ludzie wydzwaniali, kiedy będzie znowu można uczestniczyć w tych wydarzeniach. A przybywało ich z roku na rok. Mogłem organizować komercyjne imprezy dla firm. Doszło do takich sytuacji, że zewnętrzna firma płaciła mi za możliwość zrobienia imprezy na zamku, ale przy okazji widzami mogli być zwykli turyści, którzy również płacili nam za bilety. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. I tak teraz coraz częściej się dzieje na zamku. Wybieram takie imprezy, które mogą być atrakcyjne dla turystów.

Wiem, że kasztelan Grodźca to osoba bardzo towarzyska. Na pewno nie brakowało Panu okazji do spotkań z interesującymi ludźmi.

Miałem kilka takich spotkań, które będę długo pamiętać. Podczas kręcenia „Imperii" poznałem Żyrinowskiego. Cokolwiek by o nim mówić, to okazuje się, że jego opinia o Polakach, choć niektórych może bardzo niepokoić, jednak nie jest w niczym przesadzona. Nie jest Polakożercą. Łagodniej mówi o nas niż sami Polacy o sobie. Jego poglądy były podyktowane tym, że się dobrze w Rosji sprzedawały. *Wy macie swojego Leppera, a Rosjanie mają mnie, jeśli można na tym, co się mówi, dobrze zarobić, to dlaczego z tej okazji nie skorzystać* – mówił.

Poznałem też słynnego piosenkarza rosyjskiego Dimę Biełana, który w 2006 był drugi na festiwalu Eurowizji, a w 2008 roku wygrał ten konkurs. Zresztą podczas kręcenia programu na zamku poklócił się z Żyrinowskim i opuścił Polskę.

Miło wspominam Roberta Makłowicza.

Jak Robert Makłowicz trafił na Grodziec?

Przemek Osuchowski, obecnie ex-mąż Ewy Wachowicz był wraz z nią w 2000 roku podczas Mistrzostw w Płukaniu Złota, kiedy Ewa pełniła funkcję rzeczniczki rządu Pawlaka. Po jakimś czasie Przemek przysłał do starostwa pismo, w którym wyraził chęć nakręcenia jednego odcinka „Podróży kulinarnych". Zadzwoniłem do niego i usłyszałem: *Dobrze, przyjeżdżamy pojutrze.* I tak się stało. Kiedy ekipa była już na miejscu, okazało się, że można nakręcić nawet trzy odcinki programu. W konsekwencji Robert Makłowicz nakręcił „Podróże…" w Złotoryi, na Grodźcu i w Świerzawie. Pamiętam, że był wtedy styczeń, a na szczęście pogoda dopisała na tyle, aby bez kłopotów nakręcić programy. Potem w czerwcu ekipa przyjechała ponownie i wtedy zrealizowano odcinki z Leszczyny, z Wojcieszowa (kamieniołom) i z Ostrzycy. Z tą Ostrzycą to był problem, bo trzeba było wtaszczyć wszystko na szczyt. I kuchnię i wyposażenie ekipy telewizyjnej wnosili na swych plecach strażacy. Ujęcia szczytu robiono ze śmigłowca, który zawisł nad Ostrzycą.

Były to świetne imprezy promujące zamek i okolicę. Ludzie przyjeżdżali, bo chcieli zobaczyć miejsca, w których gotował Makłowicz. Nawet mieliśmy gości z Ameryki.

Prowadzi pan dość intensywne życie towarzyskie, miewa znakomitych gości, którzy nie zawsze stronią od trunków, jak w tej sytuacji wytrzymuje pana wątroba?

Mam chyba nadludzkie predyspozycje. Ale nierzadko uciekam przed gośćmi, którzy chcieliby wznosić toasty. Są takie imprezy, które odbywają się na Grodźcu równolegle i wtedy każda grupa chciałaby mnie częstować. Bolesne są to sytuacje.

Wiem, że jest Pan też mecenasem sztuki. Na zamku znalazł gościnę miedzy innymi malarz z Ukrainy, bohater ostatniego numeru „Echa" – Wiktor Koniw.

Działając tyle lat w kulturze, nie miałem wielu okazji widzieć obrazów przedstawiających nasze okolice. W 2003 roku z pełną premedytacją zaprosiłem na zamek panią Jadzię Dyląg, mając nadzieję, ze namaluje jakieś obrazy dla Grodźca. Po dwóch plenerach powstała seria malowideł, które zakupiłem na potrzeby zamku. Później podczas Dymarek w Leszczynie spotkałem kolegę szkolnego, który jest prezesem Stowarzyszenia Twórców Kultury w Lubinie. Zaproponował mi, że przyjedzie wraz z artystami do zamku na tygodniowy plener. Plener doszedł do skutku. Malarze byli dość ochoczo podpatrywani przez turystów i młodzież szkolną. Sami też chętnie jeździli na warsztaty do szkół. Później tę inicjatywę przejął „Zaczarowany ogród" z Proboszczowa. Cieszyło mnie, że ten impuls zaczyna promieniować.

W 2006 roku przyjechał do mnie na rowerze Piotrek Kaniowski w towarzystwie jakiegoś człowieka. Był nim Wiktor Koniw – malarz z Ukrainy. Kiedy Wiktor zobaczył zamek, wszystko przestało go interesować. Zostawił rower, złapał za sztalugę i zaczął jak ryba powietrze, łykać widoki. Gotowy obraz sprezentował mi. Wtedy zaproponowałem, że jeśli mu się tak podoba na zamku, to może na tydzień sobie przyjechać i malować. I przyjechał. Z tygodnia zrobił się miesiąc, potem trzy miesiące…I ta przygoda trwa na tyle długo, że już powstało blisko sto obrazów ilustrujących naszą okolicę. Burmistrz Świerzawy też zaczął zamawiać u Wiktora obrazy. Już po raz drugi wyszedł kalendarz z reprodukcjami pejzaży namalowanych przez Koniwa. To sprawiło, że za Wiktorem zaczęli interesować się też inni artyści.

Dodam, że od kilku lat na zamek zjeżdżają rzeźbiarze w drewnie i zostawiają tu swoje prace, które są atrakcją Grodźca. W tym roku też organizuję IV Międzynarodowe Sympozjum Rzeźbiarskie w Kamieniu z udziałem studentów akademii sztuk.

Przyznam, że te kontakty z malarzami i rzeźbiarzami wyrobiły mój smak artystyczny, potrafię patrzeć na sztukę i oceniać jej jakość. To daje satysfakcję.

Jakie tajemnice kryje zamek w Grodźcu?

Tajemnicą jest sam zamek. Jest inny niż wszystkie. Wystarczy zamknąć oczy i człowiek myśli, że jest kilkaset lat wstecz. Dlatego robiąc remonty staram się, w miarę możliwości, niczego nie zepsuć z tej atmosfery. Dlatego, jeśli to możliwe, stosuję te same materiały, jakich kiedyś używano. Zewnętrzny wygląd budowli trzeba bezwzględnie utrzymać. Czasem przyjeżdżają jacyś wizjonerzy i wymyślają tu na przykład spa. Wtedy odpowiadam: *macie tyle innych obiektów, rezydencji i tam róbcie spa.* Tutaj jest i będzie zamek. Chcę, aby był to obiekt, w którym czas się zatrzymał. Naprawdę już niewiele jest takich miejsc.

Spotyka Pan tu poszukiwaczy skarbów?

Czasami się zdarzają. Pytają o tajemnice. Ale myślę, że zamek już został na tyle przeszukany, że nic nowego się tu nie odkryje. Chociaż…w 2011 roku po dużych ulewach odnalazłem na dziedzińcu lufę muszkietu z XVII wieku, a potem grot piki z XV wieku. Nie wiem tylko, czy te rzeczy leżały tam od wieków, czy może w wyniku bytności Rosjan zaraz po wojnie nie zostały przez nich zgubione podczas plądrowania.

Mam w planach jeszcze odgruzować donżon i sprawdzić, czy znajdują się tam piwnice i jakieś dalsze przejścia. Ale to jest kilka wagonów ziemi do przerzucenia. Marzy mi się zadaszyć ten donżon i zrobić w nim kilka kondygnacji, by między innymi przenieść tam narzędzia tortur oraz zrobić przestrzeń dla teatrów historycznych, które coraz częściej nas odwiedzają.

Słyszałam, że marzy Pan o skansenie?

Myślałem o Centrum Edukacji Historycznej. Byłoby podzielone na zasadzie dwóch światów: podzamcze – biedniejsza część i zamek – bogatsza. Jest nadzieja, że znajdą się pieniądze z projektu i uda się zrealizować pomysł. Wtedy bylibyśmy atrakcyjni dla firm, które coraz chętniej organizują imprezy integracyjne o charakterze tematycznym. Przeniesienie się w czasy średniowiecza na klika dni to prawdziwa atrakcja dla wielu. Można zobaczyć, jak wyglądało zwyczajne życie wiele wieków temu. Można by uczyć się piec chleb, spać na słomie, myć się w zimnej wodzie, być ochmistrzynią, kasztelanem, płatnerzem, kowalem…

Widać, że zamek pobudza wyobraźnię.

Oczywiście. Kolejny przykład - od 30. kwietnia będziemy mieć fantazjadę – grę terenową, spotkanie miłośników gry „Wiedźmin" (film kręcony był na Grodźcu). Ma przyjechać około 250 osób. Mam nadzieję, że to przyniesie i zyski i reklamę zamkowi.

Po co jeszcze do tego wszystkiego Panu jest zasiadanie w Radzie Powiatu, a nawet przewodniczenie jej?

Też się czasem nad tym zastanawiam. Zaangażowanie w działanie Rady ma wiele minusów – niewątpliwie cierpi na tym rodzina. Ale swoją funkcję traktuję jako zaszczyt, jak również zobowiązanie wobec wyborców. Przyznam, że jako Przewodniczący Rady Powiatu przyczyniam się też do promocji zamku.

Ostatnio został Pan powołany do komisji działającej przy wiceministrze kultury. Na czym polega Pana rola?

Jesteśmy ciałem opiniodawczym, które pokazuje, co naprawdę dzieje się w terenie w zakresie kultury. Jesteśmy też głosem rozsądku, bo trochę burzymy perspektywę, z jakiej patrzy się na kulturę w Polsce, a jak widomo, patrzy się zazwyczaj z perspektywy Warszawy. To mocno fałszuje rzeczywistość.

Ma Pan w tym wszystkim jeszcze czas życie rodzinne?

Jakieś życie rodzinne mam. Niestety, coraz mniej obowiązków w domu do mnie należy. Mam bardzo wyrozumiałą żonę. Tak się złożyło, że początek naszego małżeństwa, to również początek mojej nieobecności. W sobotę wzięliśmy ślub, a w poniedziałek pojechałem na dwa lata do wojska. Praca w domu kultury to też ciągłe wyjazdy, np. na festiwale. Kiedy byłem szefem Związku Młodzieży Wiejskiej, wyjeżdżałem z grupami na miesięczne OHP-y. Tak jak kropla drążyła skałę, tak w końcu żona przyzwyczaiła się, że mnie nie ma w domu.

To sposób na ciągłe świeży związek?

Myślę, że tak. Tęsknota daje więcej energii do bycia razem. Ale gdyby nasze małżeństwo miało mniejszy staż, gdybyśmy mieli po 20 – 30 lat, to na tym etapie, przy takim trybie życia i naszych charakterach, pewnie nie trwałoby długo. Teraz mamy już wyrośnięte dzieci, a żona dużo własnych zajęć i obowiązków, między innymi jako „minister skarbu" Gminy Pielgrzymka. Dlatego nie przeszkadza nam to tak mocno, że się czasem rozmijamy.

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć Panu bardziej domatorskiego trybu życia, bo kobiety czasami, mimo wszystko, tracą cierpliwość, nawet jeśli ich mąż jest kasztelanem :).

Iwona Pawłowska

Rodzina Drużgów: po lewej stronie Genowefa,po prawej Hania, koło Gieni - Maria, mama Anna i tato. Po prawej - rodzina Jabłoniów (ze strony mamy siostry). Korościatyn 1942.

Korościatyn we wspomnieniach

„Opanowała ich dzikość i rządza krwi”.

Pani Genowefa Grocka (z domu Drużga) urodziła się w 1935 roku w Korościatynie, powiat Buczacz, województwo Tarnopol. Swoją rodzinną wieś tak pamięta…

Rodzinna wieś

Wieś Korościatyn leżała między Monasterzyskami, Ujściem Zielonym, Niskołazami. Kształtem przypominała literę „F”. Rodzina Drużgów mieszkała na kolonii Łozy- w kładce litery F. W latach czterdziestych XX wieku wieś zamieszkiwało 900 osób, w przewadze - rodziny polskie. We wsi znajdowała się polska szkoła, apteka, posterunek milicji, kościół, plebania, stacja kolejowa. Najbogatszy gospodarz miał służbę, konie, kierat do mielenia. W okresie zimy ludzie ocieplali domy jesiennymi liśćmi, robiąc wcześniej konstrukcje z kołków: jeden przy drugim. Ściana z liści zatrzymywała ciepło, ale w razie pożaru…strach pomyśleć! Najbliższymi sąsiadami Drużgów byli państwo Boreccy, Witkowscy, Zalewscy, Hutnikowie - rodzina mieszana polsko- ukraińska.

…-Wiodło nam się dobrze. Miałam dwie siostry: Hanię i Manię. Rodzice posiadali pole i małą hodowlę (kaczki, kury, gęsi, świnie, krowę, konia). Tato był bardzo pracowitym człowiekiem, w lecie pracował w kopalni wapienników, zimą na potrzeby ludności tkał worki i tkaniny na krośnie, robił to w ten sposób: Dojrzały len i konopie młócił, wiązał w snopki, moczył w stawie, suszył, terlicą tarł, łamał liście konopne, tłukł. Tak tworzyła się przędza, którą obijał aż zostawały same włókna, następnie czesał je szczotką. Najładniejsze kądziele wybierał i tkał ubrania, gorsze- grubsze używał na worki konopne. Mając 8 lat sama przędłam nici. Był też szewcem, środkiem płatniczym za naprawę butów była praca w polu przy żniwach, sianokosach, wykopkach. Mama, Anna, była krawcową, jej starszy brat mieszkający w Czechosłowacji przysyłał materiały i nici.. Wujek był z pierwszego małżeństwa dziadka. Babcia umarła bardzo młodo zostawiając 9 miesięczne dziecko. Dziadek ożenił się po raz wtóry, a z nowego związku urodziła się mama i jej dwie siostry Aniela i Nastia – wspomina pani Genowefa

Święta korościatyńskie

Święta były rodzinne i związane z tradycją kościelną. Na przykład w odpust *Najświętszej Marii Panny* ksiądz Krzemiński odprawiał mszę uroczystą, a dom wypełniał się gośćmi, no i smakołyków było pod dostatkiem. Bardzo lubiłam *Majówki* – trzymając się za ręce, chodziliśmy wokół kościoła, śpiewaliśmy piosenki religijne, a na zakończenie dzieci dostawały obrazki religijne.

Na Wielkanoc mama przygotowywała duży kosz z jajkami, babką wielkanocną, kiełbasę, chlebem… było tam tyle tego, że starczało z powodzeniem na śniadanie wielkanocne. Kosz do święcenia zanosili rodzice, ponieważ dla dzieci był za ciężki. Rano po rezurekcji zasiadaliśmy do uroczystego śniadania, odmawialiśmy wspólną modlitwę. W śmigusowy poniedziałek chłopcy biegali z wiadrami i oblewali każdą dziewczynę, a wody mieli pod dostatkiem, we wsi był staw i bagno pełne wody.

Wigilia i Boże Narodzenie to dopiero były święta, w kuchennym kącie tato stawiał snopek pszeniczny „babę” mówiąc -„ niech nam nigdy chleba nie zabraknie!” Podłogę zaścielał słomą, niczym dywan mówiąc: „niech się kury dobrze niosą!”.

Na święta przyjeżdżał wujek z ciocią z Czechosłowacji. Przywoził prezenty- pamiętam śliczne kolczyki. W *Nowym Roku* każdy mężczyzna miał obowiązek odwiedzenia domów, aby się szczęściło. Po męskim obchodzie kobiety mogły wyruszyć w odwiedziny. W Nowy Rok chłopcy obsypywali dziewczyny owsem, w kościele podczas mszy też sypało się owies. Po mszy zostawali i zbierali każde ziarenko, już tego ksiądz dopilnował! Życie w naszej wiosce do 1940 roku toczyło się spokojnie, gdyby nie… tragiczna napaść.

Tragiczna napaść

Jana Kaluża: ***w moim domu …***

O bandach UPA słyszałam w domu rodzinnym, dziecięce lata moich rodziców przypadały na okres wojenny. Wieś zamieszkiwała ludność polsko -ukraińska. Mój ojciec, jako dziewięciolatek był świadkiem okrucieństw dokonanych przez bandy.

- do wsi wpadła banda, było ich kilkunastu. Schowałem się za płot, tak, aby mnie nie widzieli, nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mi groziło, stałem i obserwowałem. Do domu wpadło kilku Ukraińców w wieku około 20-30 lat, wymordowali całą rodzinę, niemowlę i jego młodych rodziców (zbyt drastyczny obraz, aby opisać szczegóły) dom spalili. Rozsądek podpowiedział mi wycofanie się z miejsca mordu, pobiegłem do lasu i tam się ukryłem. Nad ranem dowiedziałem się, że wielu zostało pomordowanych a wśród nich mój starszy brat. To były smutne opowieści mojego ojca, które zostały w mojej pamięci do dzisiaj.

Ksiądz Krzemiński z Korościatyn pisał o ukraińskich nacjonalistach w swoich wspomnieniach : Opanowała ich dzikość i rządza krwi… Ludzie ludziom gotowali okrutny los.

Genowefa Grocka.:- Pamiętnej nocy Ukraińcy pojawili się od Monasterzysk, szli główną drogą i palili wszystko, co napotkali. Domy stojące na uboczu ocalały. Część mieszkańców przeczuwając napaść ukryła się w piwnicach, niestety udusili się dymem. Był 28 stopniowy mróz. Ostrzegli nas, ubraliśmy się grubo i uciekliśmy do lasu. Mama kazała nam tupać nóżkami abyśmy nie zamarzły. Niebo było jasne, z dala biła łuna, dochodziły do naszych uszu krzyki ludzi i ryk zwierząt. Rano, gdy strzały ucichły, wróciliśmy do wioski szukać krewnych, widok był makabryczny, domy dopalały się, pokrwawione ciała ludzkie leżały w każdym miejscu, krowy, świnie były na wpół spalone, smród spalenizny rozchodził się w powietrzu, śnieg zabarwił się na czerwono… Dom zastaliśmy splądrowany, brakowało ubrań, pościeli, koców, wszystkiego, co mogło się przydać uciekającym. Po wycofaniu się banderowców wiele rzeczy wróciło.

Tej nocy Ukraińcy weszli też od strony Komorówki, szli do stacji, a konkretnie na posterunek milicji, Ukrainka, która była żoną Polaka, zdradziła hasło, wywiązała się strzelanina, zginęli bandyci i Polacy. Rannych bandytów wywieźli do Łazerówki, gdzie drogę znaczyła krew. Policjanci słysząc ustalone hasło, byli pewni , że przyszła zmiana, a tymczasem rozegrała się tragedia. Tę kobietę widziano po wojnie na Dolnym Śląsku, zastanawiam się, dlaczego nie została ze swoimi?!

…W tragicznych okolicznościach

Wesele pani Gieni.

Boże ciało. Korościatyn 1943

zginęła żona aptekarza karmiaca piersią maleństwo i jego starsza córeczka, Basia. Niemowlę przeżyło, lecz zapalenie płuc pozbawiło go ledwie rozpoczętego życia. Aptekarz nie poradził sobie
z olbrzymim żalem. Oszalał. Chodził po wsi, wołając Basię. Mieszkańcy współczuli mu, pomagali, jak mogli.

…Ksiądz Krzemiński w czasie napaści przebywał na plebanii, słysząc strzały ukrył się na strychu ze swoją mamą, siostrą i panią kościelną. Dobrze, że budynek był murowany. Bandziory wrzucili butelkę z benzyną, podpalając plebanię. Ogień doszedł do obrazu Najświętszej Marii Panny i zgasł. Zmarznięci do szpiku kości, doczekali poranka.

…nad palącymi się zabudowaniami gospodarczymi babci rozpaczała córka Rozalia Hamor, Ukrainiec warknął – ratuj swoją duszę a nie dom - uparta kobieta wtargnęła do obory, spadająca belka zapaliła jej bluzkę na plecach. Przytomna kobieta ugasiła ogień turlając się w śniegu. Zdążyła wypuścić jałówkę, która przez okres wojny dawała nam mleko, niestety druga krowa spłonęła.

-Pamiętam opowieść mamy: Ukraińcy puścili ostrzał za uciekającymi, strzelali do ludzi jak do kaczek. Mamy szwagier miał dużo szczęścia, podziurawili mu portki, a jego nie drasnęli.

Nasz dom w Łozach, cioci dom pod lasem i dom Kluczewskich przetrwały, ale domy taty brata i jego rodziców się spaliły. Tej nocy banderowcy zamordowali 136 osób.

Mama z siostrami: Nastią ,Anielą i bratową z Czechosłowacji. Korościatyn 1943..

Komunia św. Pani Gienia z mężem i córką po lewej stronie, po prawej Hanna z mężem i córką

Strach kazał nam się wynieść na jakiś czas. Przenieśliśmy się do Monasterzysk. Miasteczko leżało w górach 7 kilometrów od naszej miejscowości. Przez blisko dwa miesiące mieszkaliśmy u państwa Boreckich. Zbliżały się święta wielkanocne, wróciliśmy do domu, jednak żadnej nocy w nim nie przespaliśmy. Do chwili deportacji naszą sypialnią była ziemianka. Tato poszerzył ją, ocieplił słomą, snopkiem zakrywaliśmy wejście. Mama każdorazowo usuwała ślady stóp, by nie zdradzić naszej kryjówki.

Echa wojny

Mieszkaliśmy w terenie górzystym, czołgi nie docierały do nas, najwyżej samoloty. Pod koniec wojny Rosjanie wypierali Niemców ze swych terenów, wrogie wojska utorowały drogę ucieczki przez Korościatyn. Oficerowie zajęli nasz dom. Mieszkańcom wioski konfiskowali wszystko, co się ruszało: kury, krowy, świnie. Część kur ukryliśmy na strychu, ale jałówkę uratowaną przez ciocię próbowali nam zabrać. Znajomość niemieckiego przydała się. Mama tłumaczyła oficerowi, że w domu są małe dzieci, o dziwo oficer odpuścił. Krowę zabrali ukraińskim staruszkom z sąsiedztwa. Za ten ludzki odruch mama w podzięce przygotowała obiad oficerowi (rosół, ziemniaki i pieczonego kurczaka). Jakie było jej zdziwienie, gdy ujrzała swoje dzieci siedzące na łóżku z kurczakiem w ręku. Zaczęła karcić pociechy, lecz oficer powiedział, - nie wiem czy moje dzieci nie głodują, dlatego je poczęstowałem.

Podczas długich wieczorów opowiadał nam o rodzinie o żonie i dwóch synach, pokazał zdjęcia, jedno z nich podarował mamie. W niedługim czasie samoloty zabrały Niemców do obozu jenieckiego w Rosji.

Deportacje ludności polskiej

W 1945 r. prawie cała ludność polska z Korościatyn wyjeżdżała w nieznane. Z wyrobionymi dokumentami, niewielkim dobytkiem wsiedliśmy do bydlęcego wagonu. Droga była długa. Trzy tygodnie jechaliśmy w kierunku powojennej Polski. Zatrzymaliśmy się w Pyszkowcach na trzytygodniowy postój, by ruszyć dalej. W listopadzie 1945 roku dojechaliśmy do Jelenina koło Borku Strzelińskiego. Gdzieniegdzie mieszkały jeszcze rodziny niemieckie. Podstawionymi furmankami trafiliśmy do dużego gospodarstwa. Razem z nami przyjechali Polacy z Korościatyn, Podhajec, z Markowy. Przydzielono nam pokój z kuchnią. Za ścianą mieszkała Niemka z dwójką chłopców. Przez pierwsze noce nie mogliśmy spokojnie spać. Byliśmy zmęczeni podróżą i ciągłym płaczem chłopców. Mama nie wytrzymała, poszła do sąsiadki, podając się za lekarza. Obejrzała dzieci (wdało się ropne zapalenie ucha powodując silny ból). Mama kazała zaparzyć otręby, nawoskowała lniane płótno, zwinięte w trąbkę wsadziła do ucha i podpaliła je, płócienna trąbka tliła się i dawała ciepło. Po tym zabiegu zrobiła okład z ciepłych otrąb. Noc przespaliśmy spokojnie. Rankiem chłopcy Ekart i Krystian biegali wesoło po podwórku. Panie zaprzyjaźniły się. Jakież było zdziwienie, kiedy podczas rozmów okazało się, że pani Kramer(tak się nazywała) pokazała mamie takie samo zdjęcie, jakie otrzymała od oficera niemieckiego. Niemka dowiedziała się, że mąż trafił do niewoli w Rosji. Po roku poszukiwań otrzymała list od niego. W 1948 roku wysiedlili Niemców.

Nastał czas pokoju, poszukiwań zaginionych rodzin… Z wojny wrócił mamy brat, walczący, jako żołnierz. Od rządu PRL otrzymał pomieniecki dom, oboręę, konia i osiem hektarów ziemi. Szybko poznał żonę i zamieszkał u teściów, zostawiając mamie dobytek.

Za rządów Cyrankiewicza brat mamy (z Czechosłowacji), jako więzień polityczny został zesłany na Sybir na 10 lat. Mama postanowiła zawalczyć o niego. Jego żona, Niemka, nie miała takich możliwości, rząd polski w połączeniu z radzieckim pewnie i ją by zesłał. Mama pojechała do Warszawy, w stolicy kazała zawieść się do Cyrankiewicza. Trafiła do oficera SB , opowiedziała całą historię, ten pokierował ją do ambasady rosyjskiej. Funkcjonariusze ambasady obiecali wypuścić brata w ciągu dwóch tygodni. Dotrzymali słowa. Potwierdzeniem był list od wujka z Jabłonnej w Czechosłowacji. Wujek żył 86 lat, zmarł w marcu 1958 r.

Dorosłe życie

Mojego męża poznałam w 1954 roku. Przyjechał z kolegą na przepustkę w odwiedziny do mojej siostry. Potem regularnie odwiedzali nas, pisaliśmy do siebie listy. 27. grudnia 1955 roku wzięłam ślub, a po Nowym Roku już mieszkałam w Złotoryi. Rodzina męża przyjechała do Złotoryi w 1949 roku. Z ojcem pracowali w Administracji Domów Mieszkalnych. Przez 15 lat mieszkaliśmy przy ulicy Bolesława Chrobrego na II piętrze trzypiętrowego bloku. W latach 70. rozebrano go, obecnie w tym miejscu jest parking. Zamieszkaliśmy na Ogrodowej w stumetrowym mieszkaniu (trzy pokoje i kuchnia). Tu przychodziły na świat kolejne dzieci. Mała hodowla i ogródek ułatwiały nam życie. Przeżyłam tragedię, kiedy zmarł mąż. Zakład pracy męża ufundował dwa mieszkania dzieciom, wszystkie otrzymały rentę. Dorastały i „wychodziły z domu”. Poszłam do pracy, pięć lat pracowałam w ADM, 10 lat w Szpitalu i kilka w Spółdzielni Wiktoria. 1991 choroba serca zmusiła mnie do pójścia na rentę. Zaczęłam dbać o zdrowie według przykazań lekarzy.

Dzieciom poświęcałam dużo czasu, rozmowy przy okrągłym stole były tradycją, tu zapadały ważne decyzje - komu kupić buty, ile ton węgla potrzeba na zimę, ile będą kosztowały wyprawki na kolonie.Zakup książek do szkoły…czas szybko mijał, nim się obejrzałam, dzieci dorosły i każde poszło w swoją stronę. Dumna z jestem ze swojej dziesiątki. Są zaradni i szanują się. Pokończyły szkoły średnie a niektórzy studia. Kocham je a oni mnie. Mam już wnuki i prawnuczki. Zwyczaje przywiezione z domu rodzinnego przetrwały do dziś.

Powrót do korzeni

G.G.: Ukrainę odwiedziłam jeszcze kilka razy.

Korościatyn

W 1989 roku odwiedziłam wieś, którą opuściłam ponad 40 lat temu. Pojechałam w odwiedziny do mamy sióstr - Anieli i Nastii. Pamiętałam je przez mgłę. W dniu naszej deportacji ciocia Nastia wróciła z Syberii ubrana we wsypę z pierzyny, opasana sznurkiem. Ciocia opowiadała o transporcie z Syberii. Dziadek był śmiertelnie chory, wyrzucono go z pociągu. Do dnia dzisiejszego nie ma swojego grobu. Anielka mieszkała w Krasiejowie w ukraińskiej wiosce, przygarnęła ciocię Nastkę. Brak dokumentów nie pozwolił jej na wyjazd z nami. Nastia jest już starowinką, choruje na cukrzycę, jest niewidoma, przytuliła się do mnie słuchając opowieści o polskiej ziemi.

Widziałam moją wioskę, mój rodzinny dom, ale nie weszłam do niego, nie miałam odwagi, bałam się, że obrazy z wojny powrócą, bałam się dźwięku uderzającej siekierki w szybę i strachu przed ucieczką. To uczucie towarzysz mi do dnia dzisiejszego..

Żmerinki

Syn Andrzej, jako duszpasterz dostał zaproszenie do Żmerinki na Ukrainę, kupił biały ornat dla katolickiego księdza na uroczyste otwarcie kościoła. Po wojnie wszystkie wieże kościelne były niszczone, nic nie mogło być wyższe niż kopuły cerkiewne! Po 1989 nieco zmieniło się, zaczęto odbudowywać kościoły. Była to polska wieś, zdziwiło mnie, że w tej górzystej przygranicznej miejscowości mieszka tylu Polaków. Zaczepiłam dziewięćdziesięcioletnią staruszkę, pytając, czemu kościółek ma dwóch patronów. Na to ona: Miałam 9 lat i przyglądałam się, jak mój tato budował ten kościół.W tamtych czasach na budowę kościoła trzeba było mieć pozwolenie od cara. Zdarzyła się okoliczność, że car przejeżdżał przez Żmerinkę, ludzie zatrzymali go prosząc o zgodę na budowę kościoła. Car zgodził się pod warunkiem, że będzie nosił imię św. Aleksieja. Polacy nadali imię Najświętszej Marii Panny. Do św. Aleksieja wznosili modły prawosławni a do Najświętszej Panienki - katolicy. Potem wieżę rozebrali. Po kilkunastu latach kościółek doczekał się pierwotnego kształtu z wieżą.

Wielu Polaków z Korościatyn, Rodatycz, Stanisławowa, Monasterzysk, Gródka Jagiellońskiego… chciałoby zapomnieć o trudnych czasach, zapomnieć o strachu, który przeżyli, niektórzy z nich nigdy nie powrócili do miejsc, gdzie drogi, pola i łąki znaczyły groby.

Więcej nie pojechałam do miejsc mojego dzieciństwa.

Opowieści pani Genowefy wysłuchała Jana Kaluża

Złotoryjskie ortogramy

Lutowe wydanie poradnika poświęcamy jedno- i wielowyrazowym nazwom budowli, pomników, zabytków itp. Ich poprawność reguluje następująca zasada ortograficzna: *jeśli stojący na początku nazwy wielowyrazowej wyraz: ulica, aleja, plac, park, pomnik, most itp. jest tylko nazwą gatunkową (rodzajową), piszemy go małą literą, a pozostałe wyrazy wchodzące w skład nazwy – wielką literą.* Zatem poprawny zapis złotoryjskich zabytków przedstawia się tak :

- ***fontanna Delfina, fontanna Górników,***
- ***pomnik Władysława Reymonta, pomnik Niepodległości, pomnik Jana Pawła II, pomnik Kopacza Złota, pomnik Sybiraków*** (to nazwy tylko niektórych złotoryjskich pomników);

Ta sama zasada pozwala nam poprawnie zapisać takie nazwy jak:

- ***plac Niepodległości, plac Sprzymierzeńców czy plac Orląt Lwowskich,***
- ***aleja Miła*** , tu należy pamiętać, że : *jeśli w nazwie wyraz* ***aleja*** *występuje w liczbie mnogiej, piszemy go wielką literą, np.* ***Aleje Jerozolimskie.***

I jeszcze jeden złotoryjski zabytek – średniowieczna ***kapliczka słupowa*** umieszczona na dziedzińcu kościoła św. Jadwigi. Kapliczka (łac. Capella) pochodzi od słowa (łac. cappa) i znaczy tyle co płaszcz, a pierwotnie określała miejsce, w którym przechowywano sławetny płaszcz św. Marcina z Tours , stanowiący tarczę ochronną królów francuskich w czasie wojen. Tak więc ***kapliczka słupowa*** nie jest nazwą własną. Składa się ona z rzeczownika pospolitego określanego przez przymiotnik, dlatego oba człony piszemy małą literą.

Serdecznie zapraszamy Państwa na zimowy spacer szlakiem złotoryjskich pomników, parków i placów. W mroźny wieczór warto zajrzeć na aleję Miłą, która pięknie prezentuje się w ciepłym świetle stylowych lamp. A jak zapisać nazwy tych miejsc już Państwo wiecie dzięki naszemu poradnikowi.

Z ciepłym pozdrowieniem
Renata Fuchs i Anna Markiewicz

Kronika

20.01. Do teatru Jeleniej Górze odjechał pierwszy Turystyczny Autobus Kulturalny z 46 widzami „Kolacji dla głupca”.

20.01. Odbyło się założycielskie zebranie Stowarzyszenia Kulturalnego „Złota Cooltura”. Prezesem stowarzyszenia został Daniel „Torez” Leks.

25.01. W Złotoryi odbyła się skromna manifestacja przeciwko wprowadzeniu paktu ACTA.

25.01. Złotoryjanka Hanna Markiewicz dostała się do programu „Bitwa na głosy”.

26.01. Radni Miejscy podjęli uchwałę o wygaśnięciu mandatu radnej Barbary Listwan, która zrezygnowała z pełnienia funkcji radnej.

28.01. Kacper Mularczyk zdobył srebrny medal na ogólnopolskim turnieju tenisa seniorów w Sopocie. Natomiast Konrad Mularczyk zdobył srebro w kategorii juniorów w grze pojedynczej oraz złoto w deblu.

28.01. W Zimowym Turnieju Tenisa Stołowego o Puchar Dyrektora ZOKiR zwyciężył Karol Kozak.

3-5.02. W Hali Ludowej we Wrocławiu na targach turystycznych prezentował się powiat złotoryjski.

3-5.02. Na zamku w Grodźcu odbyły się manewry Regimentu Pana Kacpra w strojach historycznych.

4-5.02. Adriana Żurańska z Unii Pielgrzymka została halową mistrzynią Dolnego Śląska w łucznictwie olimpijskim.

4-5.02. W Hali Sportowej Tęcza odbył się I Turniej Piłki Halowej |Dzieci i Młodzieży o Puchar Burmistrza Miasta Złotoryja.

7.02. Wojewoda Dolnośląski ustalił termin wyborów uzupełniających do Rady Miejskiej na 15. kwietnia br.

Lilarózowy zwiastun wiosny

Opowiem Wam o Dafne - zwiastunie wiosny, który można przy odrobinie szczęścia spotkać w okolicznych lasach, a tak naprawdę - małej, rachitycznej krzewince, kwitnącej drobnym, lilarózowym, wonnym niczym hiacynt kwieciem. Opowiem o wawrzynku wilczymłyku *(Daphne mezereum L.)*. Jakiż to fenomen? – zapytacie. A no taki, że kwitnie najpierwszy z pierwszych, gdy zima jeszcze walczy, gdy chłodno i szaroburo, a wokół pełno śniegu i błocka. Czyni to na przedwiośniu i - wierzcie mi - widok to niezwykły, bo piękny w swej estetycznej ascezie, a przy tym dziwnie na duchu podnoszący i przepędzający gdzieś na chwile zimowe depresje. Bo patrząc - nie sposób wątpić. Oto pierwszy znak nadchodzącej wiosny.

Wawrzynka znajdowałem co najmniej w kilkunastu miejscach, zawsze dość niespodziewanie i nigdy w większych ilościach. Niewiele to, jak na ćwierć wieku włóczęg po kaczawskich pagórach. Pamiętam dobrze pierwsze spotkanie. Było to w marcu 1985 r, w okolicach Proboszczowa, w lesie przylegającym od północy do Ostrzycy. Potem widziałem go na Wzgórzach Sokołowskich, gdzieś koło Nowego Kościoła, w Jastrzębniku, w końcu w lasach między Wilkowem a Stanisławowem, gdzie w jednym miejscu rosło ich nawet kilka. Trudno wyobrazić sobie bardziej niepozorny krzew. Wysoki zwykle na nie więcej niż pół metra. Wątle, cienkie, półnagie gałązki z niewielką ilością lancetowatych listków. Gdyby nie skupione w grupy niewielkie, jaskrawoczerwone owoce - pestkowce, nie sposób by go było wypatrzyć pośród innych roślin. Zdecydowanie łatwiejsze to zadanie wczesną wiosną, kiedy przystraja się, zanim wypuści liście, w swoje skromne, gustowne obleczenie z drobnych różowych kwiatków.

Co jeszcze wyróżnia Dafne? (lubię tak nazywać wawrzynka; Daphne to w mitologii greckiej ukochana nimfa Apollina, po łacinie zaś „wawrzyn" bądź „laur", a Linneusz nazwał go tak zapewne ze względu na duże podobieństwo jego liści do liści lauru). Otóż jest to gatunek rzadki, stąd objęty ścisłą ochroną prawną. No i – co niezmiernie interesujące – jest rośliną silnie trującą. Dawno temu, w latach studenckich zaczytywałem się pewną pasjonującą, choć mroczną niczym skandynawskie kryminały lekturą: *Zatrucia roślinami wyższymi i grzybami*. Ileż w niej dramatycznych historii i opisów zatruć, zatrważających objawów i skutków, beznadziejnych rokowań i ponurych statystyk. Sięgam więc znowu do tej drzemiącej od lat na półce dużej zielonej księgi i czytam o moim subtelnym, delikatnym krzewie takie oto m.in. informacje: „…cała roślina jest trująca, najbardziej łyko i owoce; zawarte w roślinie substancje toksyczne powodują zatrucia ogólnoustrojowe rozpoczynające się bólami przewodu pokarmowego, a kończące zgonem na skutek zapaści; rokowanie bardzo poważne, śmiertelność 30%...." Dalej następują opisy okoliczności kilku przypadków zatruć, ale te ze względu na ich drastyczność pominę. Wszystko to jednak zdarzenia rzadkie. Ledwie 17 w ciągu 40 lat. A taki niepozorny! – chciałoby się powiedzieć. Uważać trochę jednak trzeba, zwłaszcza na odmiany ogrodowe. Wawrzynek wilczełyko występuje bowiem w kilku odmianach uprawnych (także o białych kwiatach i żółtych owocach). Są zwykle dorodniejsze – wyższe, grubsze, z większą ilością kwiecia. Podobnie jak „wypasione" wawrzynki, które corocznie spotykam w dużych ilościach w kwietniu na bieszczadzkich połoninach. Wolę jednak te nasze, kaczawskie. Może one i wątłe, może przy tamtych wyglądają trochę jak zdechlaki, ale - jak żadne inne - potrafią zakwitać już w lutym i to tam, gdzie nikt się tego nie spodziewa. Jak więc tylko odpuszczą mrozy i w dzień temperatury wzrosną powyżej zera, rozglądajcie się wokół uważnie podczas weekendowych wypadów w teren. Zaraz rozpocznie się lilarózowe zwiastowanie.

Gemeiner Kellerhals, Daphne mezereum.

Marek Sarna

Rycerz Jack Edwards (pierwszy od lewej) przy budowie fortyfikacji. Fot. R. Pawłowski

Wojowie z Anglii

W pierwszy weekend lutego na zamku w Grodźcu przeprowadzono Manewry Regimentu Pana Kacpra. Wśród rycerzy znaleźli się wojownicy z Anglii. Jeden z nich podzielił się z Echem swoimi wrażeniami.

Echo: Jaką grupę rycerską reprezentujecie?

Jack Edwars: Jestem kapitanem i sekretarzem grupy zwanej Clarence Household w UK.

Jeżeli chcesz dowiedzieć się więcej o naszej grupie, możesz zajrzeć na stronę www.clarencehousehold.co.uk

Popularne są w Anglii takie grupy rekonstrukcyjne?

Tak, w UK jest wiele różnych grup odtwarzających czasy od starożytnego Rzymu po drugą wojnę światową i wszystko pomiędzy. Grupy rekonstrukcyjne to całkiem spora społeczność entuzjastów.

Skąd macie takie urocze wdzianka?

Wiele ubrań kupujemy lub robimy samodzielnie. Sam dużo szyłem, kiedy byłem studentem, ale teraz mam pracę i zarabiam więcej, więc znacznie częściej kupuję od profesjonalnych krawców z Wysp, Europy i dalszych zakątków świata. Na przykład mam koszulę z włoskiej firmy, kilka rzeczy od pani żyjącej we Francji, kilka od polskich handlowców, a jeszcze kilka z Ameryki. Jest znacznie więcej ludzi, którzy żyją dzięki produkcji takich ubrań lub traktują to jak hobby.

Jak wam się udało przewieźć broń rycerską do Polski? Wolno z nią wchodzić do samolotu?

Nie zrobiliśmy tego. Mieliśmy szczęście, ponieważ kilka osób z polskiej grupy pożyczyło nam broń, kiedy przyjechaliśmy. Co prawda możesz przetransportować miecze samolotem, ale jest to dodatkowy koszt, ponieważ są zaklasyfikowane jako sprzęt sportowy, jak choćby narty.

Znaliście wcześniej zamek w Grodźcu?

Nie, to jest pierwszy raz, kiedy tu zawitaliśmy. Moim zdaniem to świetny zamek. W UK rzadko pozwala się na odpalenie broni w historycznym budynku lub na spanie w nim, więc miło było zrobić obie te rzeczy.

Skąd pomysł, by wziąć udział w manewrach?

Dwóch ludzi z grupy, którą widzieliście, jest z Polski, ale żyją w UK i spotkaliśmy się z nimi wcześniej podczas innej rekonstrukcji w Szwajcarii. To oni zaprosili nas do Grodźca na dzisiejsze wydarzenie. Zgodziliśmy się i oto jesteśmy.

Poznaliście kasztelana?

Tak. Był bardzo miły, choć nie znam polskiego i nie sądzę, żeby on mówił po angielsku, więc duża część naszej rozmowy polegała na mimice :)

Jak oceniacie atmosferę zamkowej imprezy?

Każdy był bardzo uprzejmy i gościnny. Rozmowy tłumaczono nam na angielski, w związku z czym wiedzieliśmy, co się dzieje. Wszyscy byli bardzo mili.

Poznałem kilku handlarzy (od których wcześniej kupowałem rzeczy potrzebne do rekonstrukcji), a nigdy nie spotkałem ich osobiście, więc miło było uścisnąć dłoń i przywitać się po raz pierwszy na żywo.

W co się tutaj bawicie? Na czym polegają manewry, w których bierzecie udział?

Chodziło o rozbicie prymitywnego obozu w lesie podczas zimy i sprawdzenie, czy możemy przenocować na zewnątrz. Podobnie robiłem w Belgii i na północy Anglii, ale nigdzie nie było tak zimno jak w Polsce, więc chodziło o wyzwanie - czy jestem w stanie to zrobić.

Śpicie teraz w nieogrzewanych szopach. To trochę ekstremalne warunki jak na tę porę roku.

Oczywiście było bardzo zimno, ale mieliśmy rozpalony duży ogień w kuchni na wypadek, gdyby ktoś potrzebował się rozgrzać. Można też było zebrać trochę drewna lub dużo chodzić dla utrzymania ciepła. Najtrudniejsze dla nas było spanie na zewnątrz, bo byliśmy okryci tylko warstwą materiału. Tej nocy było jakieś -15*C. To bardzo zimno, ale wytrzymaliśmy, więc byliśmy bardzo zadowoleni.

Masz zamiar wrócić jeszcze kiedyś na Grodziec? Na przykład latem?

Być może, jeżeli będzie kolejne takie wydarzenie i wszystko się uda, wówczas chętnie bym wrócił i odwiedził Grodziec w lecie.

Iwona Pawłowska i Przemysław Bartkiewicz

Czarno-białe dylematy

Robert Pawłowski: Co takiego pasjonującego jest w fotografii?

Przemysław „Krecik" Bartkiewicz: Według mnie najciekawsze jest to, że za pomocą aparatu (narzędzie bardzo przydatne do robienia zdjęć) utrwalamy nasz własny sposób postrzegania otaczającej nas rzeczywistości, który sam w sobie może być od tej rzeczywistości odległy. Na szczęście (i nieszczęście) każdy ma teraz dostęp do aparatu i może sam przekonać się, czy to, co fotografia ma do zaoferowania, jest na tyle atrakcyjne, że warto poświęcić jej trochę czasu.

Robiłeś jeszcze zdjęcia aparatem analogowym?

Kiedyś korzystałem z typowej głupkamery a później, w wieku około 13 lat, dorwałem zenita. Skończyło się na tym, że wypstrykałem dwie klisze i wyszło mi całe jedno zdjęcie, z którego do tej pory jestem dumny. Reszta była poruszona, prześwietlona albo niedoświetlona ponad tolerancję kliszy. Moje szaleństwo z zenitem szybko się skończyło, bo go niechcący zepsułem... Swoją drogą trzeba mieć talent, żeby zepsuć radziecki aparat. Potem podkradałem szwagrowi minoltę, która już sama wszystko mierzyła.

W odróżnieniu od pozostałych klubowiczów na plenerze robisz mało zdjęć. Ile razy przeciętnie naciskasz na spust?

O ile dobrze pamiętam mój „rekord" wynosi cztery zdjęcia podczas dwudniowego pleneru ZKF na Okolu. Wszystko jednak zależy od tego, co fotografuję – jeżeli robię typowy reportaż, gdzie duże znaczenie ma moment, to zdjęć jest znacznie więcej niż podczas krajobrazowego pleneru (30-50 zdjęć) czy zwykłego szwędania się z aparatem (kilka). Poświęcanie większej ilości czasu na myślenie nad kadrem najczęściej owocuje lepszymi zdjęciami, a ponieważ wolno myślę to i zdjęć wychodzi niewiele. Do tego na końcu robię przesiew na komputerze i zostaje tylko niewielka część, do której, przynajmniej w moim odczuciu, warto zasiąść i zająć się obróbką.

Co to jest street photo?

Bierzesz pan aparat, asfalt, trochę farby i walec... Jak już masz ulicę (stąd nazwa) to idziesz nią, żeby przy pomocy aparatu utrwalać obrazki życia codziennego, najczęściej skupiając się ma momentach, relacjach, emocjach. Można też potraktować człowieka jako uzupełnienie kadru w odniesieniu do architektury. Żeby nie było zbyt konkretnie, to dodam, że właściwie można zrobić wszystko. To jest właśnie street photo – ni to reportaż, ni to zwykły pstryk z człowiekiem w kadrze.

Fotografujesz znienacka, czy podchodzisz do człowieka na ulicy i prosisz o zgodę na zrobienie zdjęcia?

To zależy, jeżeli człowiek jest tylko dopełnieniem kompozycji, wówczas nawet nie mam możliwości uzyskania zgody przed zrobieniem zdjęcia. Wygląda to tak, że znajduję miejsce, które jest interesujące, zostaję tam i czekam aż ktoś się pojawi i wypełni mi kadr. Najczęściej nawet nie widać twarzy takiej osoby, więc zgoda jest zbędna. Inny przypadek stanowią portrety uliczne, gdzie podchodzę blisko osoby, która jest głównym tematem zdjęcia. Wtedy nie ma innej opcji, trzeba grzecznie poprosić i pstrykać dopiero po zezwoleniu.

Jaka jest reakcja ludzi?

Jeżeli jestem z dala od nich, często po usłyszeniu kłapnięcia lustra patrzą jak na wariata, no bo co ciekawego może być w osobie przechodzącej przez miasto. Odnośnie samych portretów – zauważyłem, że im większa miejscowość, tym ludzie chętniej zgadzają się na zdjęcia. Podobnie dużo łatwiej jest robić zdjęcia za granicą niż u nas, a szkoda.

Pogonił cię kiedyś ktoś?

Nie zdarzyło się. Ludzie co prawda bywają zirytowani, ale agresji nie doświadczyłem.

Kto jest twoimi fotograficznym guru?

Jest ich mnóstwo, wymienię tylko świętą trójcę żyjących. Przede wszystkim podziwiam James'a Nachtwey'a. Za wszystko. Następny jest Jeff Ascough za pokazanie, co można zrobić ze światłem zastanym w reportażu. Na koniec Akash i jego wykorzystanie koloru w kadrze. Nie ma co się rozpisywać, ich zdjęcia trzeba po prostu zobaczyć.

Kiedy otrzymałeś zlecenie na zrobienie okładki do Echa, strasznie kręciłeś nosem, że ma być kolorowa? Co takiego jest odpychającego dla ciebie w kolorze?

Zapomniałeś, że okładka miała być nie tylko kolorowa, ale także ładna, stąd to kręcenie nosem. Już jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że mam spaczone poczucie estetyki. Natomiast kolor nie jest dla mnie odpychający, po prostu wciąż uczę się z nim pracować. Bardzo trudno jest mi wykorzystać kolor na zdjęciu w taki sposób, żeby stanowił jego integralną część i podkreślał temat. Odbiorca powinien zapamiętać nie tylko to, co było na zdjęciu, ale i jego kolory i ich rozmieszczenie w kadrze. To więcej niż po prostu zrezygnować z b&w.

Większość twoich fotografii jest czarno białych, ale są i kolorowe, które osobiście uważam za jedne z najlepszych w twoim dorobku. Czy nie jest z twojej strony trochę to taki czarno-biały snobizm.?

Nie ukrywam, że jestem zwolennikiem b&w. Do tego zdjęcia, które uważam za arcydzieła, w większości są pozbawione koloru. Jednak nie trzymam się tej techniki na siłę i staram się o choć odrobinę obiektywizmu. Za każdym razem oceniam, czy zdjęcie będzie wyglądało lepiej w kolorze. Jak powiedziałem wcześniej – wciąż uczę się pracy z nim. Wbrew pozorom mam sporo kolorowych zdjęć, które grzecznie siedzą w szufladach dysku twardego, bo zabroniłem im pokazywać się publicznie. ***W Złotoryjskim Klubie Fotograficznym jesteś od początku, można nawet cię zaliczyć do ojców założycieli. Co wniosłeś do Klubu, a co Klub dał tobie?***

Klub jest dla mnie przede wszystkim świetną motywacją dla ciągłego robienia zdjęć i nie wiem, czy bez niego dalej trzymałbym się fotografii. Choć nie każdy musi lubić landszafty, to trzeba przyznać, że plenery dają ogromną wiedzę techniczną o sprzęcie, co przydaje się przy każdym włączeniu aparatu. No i co za ludzie! Takiej grupy szczerych, otwartych, przyjacielskich i bezinteresownych istot świat nie widział. Telefonuję przy nich to banda chamów i pyszałków. Jeżeli chodzi o mój wkład, to czasem opowiem jakiś dowcip na spotkaniu. Mam nadzieję, że ktoś to docenia.

Twoje fotograficzne plany?

W najbliższej przyszłości mam kilka sesji do zrealizowania. Poza tym mam nadzieję, że ministudio portretowe podczas wystawy ZKF wypali i goście będą zadowoleni (proszę się ładnie umalować, upiększanie każdego w photoshopie znacznie wydłuża czas oczekiwania na zdjęcie). Jeżeli chodzi o dalsze, lecz nie tak dalekie plany, to właśnie czekam na wystawienie paszportu i zamierzam z niego skorzystać, żeby coraz głębiej brnąć w reportaż.

Zdjęcie zostało zrobione pod sklepem zachwalanym przez jednego z polskich polityków. Miałem aparat pod ręką zgodnie z drugą zasadą klubu: ,,noś aparat przy sobie'' Pierwsza, że przypomnę: ,,Prezes zawsze ma rację''. Piesek (nie mylić z nietoperzem) siedział sobie grzecznie. Nie lubię opowiadać o zdjęciach, powiem tylko, że spodobał mi się widok, zaczekałem, aż model trochę zmieni pozycję, no i pstryk! Potem kadrowanie i obróbka. Zdjęcie zostało przycięte tak, żeby pozbyć się zbędnych elementów, ociera się nawet o minimalizm. Kolorystyka jest oszczędna, wspomaga kompozycję i dlatego zostało w kolorze. A od siebie – pozdrawiam babcię!

Ksiądz Michał Dunas

Pierwszy powojenny proboszcz parafii św. Jadwigi

Istnieje aż nadto powodów, aby przypomnieć sylwetkę księdza Michała Dunasa, który przez pierwsze dwanaście lat po wojnie kierował życiem religijnym Złotoryi i jej najbliższych okolic[1]. Był to przecież okres przełomowy, przyniósł zupełnie nowe społeczeństwo ziemiom odzyskanym, nowy ustrój, władzę komunistów, z którymi nie układał się jeszcze żaden tutejszy duchowny. Właśnie w tej nowej rzeczywistości bardzo wiele zależało od katolickiego duchowieństwa, które mogło powstrzymywać wiernych przez zalewem ateizmu albo też swoim postępowaniem dostarczać argumentów wrogom Kościoła i wiary.

Ich działania musiały uwzględniać fakt, że przez kilka lat po wojnie przebywali tutaj wciąż Niemcy, przeważnie protestanci, a także Żydzi w liczącej się grupie. Jednak wśród ludności napływowej dominowali katolicy, co automatycznie sytuowało na piedestale duszpasterzy tego wyznania. Ogromna była ich rola, jeśli chodzi o losy sakralnych obiektów, stanowiących dobra kultury ogólnoludzkiej a nie tylko niemieckiej. Jak zobaczymy, bohater niniejszego opracowania zetknie się z wszystkimi zasygnalizowanym problemami.

Niniejsze opracowanie to pierwsza obszerniejsza próba zebrania okruchów pamięci o księdzu Michale Dunasie. Nie pozostawił żadnych pamiętników (przynajmniej takowe nie są znane autorowi niniejszego tekstu). Mamy jednakże możliwość sięgnięcia do wspomnień jego seminaryjnych kolegów, księży Jana Winiarskiego i Romana Wanatowicza, a także wielu osób, które wciąż świetnie pamiętają ten okres dziejów naszego miasta[2]. Bardzo owocne okazały się kwerendy w Archiwach Państwowych we Wrocławiu i Legnicy, Archiwum Kurii Legnickiej, Archiwum Archidiecezjalnym we Wrocławiu oraz wrocławskim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej. Zachowała się na szczęście kronika parafii św. Jadwigi za lata 1945-1972, prowadzona przez pierwsze lata przez ks. Dunasa[3]. Czytelnicy wybaczyć muszą liczne cytaty i niektóre szczegóły – autorowi zależało jednak na tym, aby ukazać nieznane szerzej i nie tylko religijne aspekty tamtych czasów.

Młodość i studia

Michał Jan Dunas urodził się 29. września 1914 r. w Gródku Jagiellońskim w województwie lwowskim. Był synem Antoniego i Katarzyny z d. Smyk. Szkołę powszechną i gimnazjum ukończył w miejscu urodzenia. W 1933 r. rozpoczął studia teologiczne w Seminarium Duchownym we Lwowie. Cieszyło się ono zasłużoną wysoką renomą. Studenci w ciągu pięciu lat studiów przechodzili przez ręce wielu wspaniałych księży profesorów. Rektorem seminarium duchownego we Lwowie był wówczas ks. biskup Eugeniusz Baziak, ojcem duchownym roku ks. dr Marian Stark. Trzeba dodać, iż dwa lata niżej studiował we Lwowie seminarzysta Onufry Stankiewicz, urodzony w 1917r. Opatrzność skieruje ich obu do Złotoryi po zakończeniu drugiej wojny. Subdiakonat i diakonat przypadł klerykowi Michałowi w kwietniu 1938 r, święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 26. czerwca 1938 r.

Nie wiemy, gdzie Michał Dunas odprawił swą mszę prymicyjną. W każdym razie po krótkich wakacjach skierowany został, zapewne w sierpniu 1938 r, do Rohatyna w województwie stanisławowskim na swą pierwszą kapłańską placówkę.

Rohatyn

Magdeburskie prawa miejskie uzyskał Rohatyn w 1415 r. Zwłaszcza w wiekach XVI i XVII okolice miasta były widownią wielu starć polsko-tatarskich, tureckich i kozackich. Od końca średniowiecza był ważnym ośrodkiem osadnictwa żydowskiego, znanego np. w XVIII w. z prężnego chasydyzmu. W tym samym stuleciu czas jakiś zamieszkiwał tutaj Piotr Skarga. W 1919 r. został miastem powiatowym. W 1921 r. w powiecie zamieszkiwało 30,7% Polaków, w samym mieście na ogólną ilość 5736 mieszkańców, 3000 Żydów. W okresie międzywojennym działały tutaj m.in. Seminarium Duchowne Grecko-Katolickie, dwie szkoły powszechne państwowe, prywatna szkoła powszechna ukraińska, dwa państwowe gimnazja, seminarium nauczycielskie, dwie religijne szkoły żydowskie, Dom Starców i Ochronka dla Sierot, „Sokół”, Narodowa Demokracja, BBWR, harcerstwo, żydowska partia „Bund”, wiele klubów sportowych.

Dawni mieszkańcy Rohatyna nie pamiętają konfliktów narodowościowych przed 1939 r, dochodziło natomiast do małżeństw mieszanych. Spokojna sytuacja szybko uległa radykalnej zmianie po wybuchu wojny. Z dnia 1. września 1939 r. w Rohatynie A. Pałka zapamiętał najpierw syreny a potem niemieckie bombardowanie, podczas którego zginęły trzy osoby. W szkołach, powszechnej męskiej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i żeńskiej im. Królowej Jadwigi, nie rozpoczął się już nowy rok szkolny. Wojna miała na Kresach kilka obliczy. Najpierw, po 17. września 1939 r. zostały one zajęte przez Związek Sowiecki. 2. lipca 1941 r. Rohatyn stał się łupem Niemców, aby w lipcu 1944 r. znów „powrócić” do ZSRR. Zmieniały się tym samym relacje narodowościowe. Po 1941 r. dla licznej społeczności żydowskiej Niemcy urządzą getto a następnie ją wymordują. Już od 1939 r. na porządku dziennym dochodziło do napadów na mieszkania Polaków, których dokonywali Ukraińcy (Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów z siedzibą we Wrocławiu szacuje dziś liczbę zamordowanych w Rohatynie i okolicach w 1943 r. na 3380 osób). W 1944 r, gdy powrócili na dobre Rosjanie, rozpoczęły się kolejne ukraińskie czystki na Polakach,

W parafii w Rohatynie tuż przed 1945 r. pracowało dwóch księży. Ks. Dunas w latach 1938-1945 był wikarym. Proboszczem został tuż przed końcem wojny. Żyją złotoryjanie, których ks. Michał Dunas „zdążył” jeszcze ochrzcić w Rohatynie w 1939 r. Pięćset metrów od kościoła mieszkała liczna rodzina Tadeusza Glińskiego, który przybędzie później razem z ks. Dunasem do Złotoryi. W 1943 r. banderowcy wydali na ks. Dunasa wyrok śmierci.

W lipcu 1944 r. (T. Gliński, A. Pałka) kościół został zniszczony przez bombę podczas nalotu Rosjan (strącono m.in. wieżę). W 1945 r. ks. proboszcz zdołał jeszcze odbudować wieżę, założyć nowy dach i wstawić okna a także (12. października) umieścić na wieży nowy krzyż.

Po zakończeniu działań wojennych kościół zdemolowano za zgodą nowych właścicieli Kresów. Po wojnie urządzono tu skład mebli ale wreszcie doczekał się odbudowy.

Kościół w Rohatynie na zawsze pozostał w pamięci byłych mieszkańców Kresów. Irena Cisek-Piątkowska w swoim wierszu pt. *Rohatyn i jego piękne okolice* tak pisze:

Już z oddali widniał kościół parafialny
Świętego Mikołaja – otoczony drzewami,
Który koił nasz ból, troski i cierpienia,
Gdzie szukaliśmy wsparcia, chwili zapomnienia.

Wyjazd 1945

Radzieckie ogłoszenie z 1945 r. o możliwości wyjazdu Polaków do państwa polskiego miało właściwie charakter przymusowy. Część Polaków z ulgą potraktowało taką możliwość, wciąż obawiając się Ukraińców. Przed wyjazdem Polacy mogli zgromadzić dobytek, który zamierzali wziąć ze sobą, nawet zwierzęta gospodarskie. Wcześniej można było też znosić swoje rzeczy do bud ustawionych wzdłuż torów kolejowych (A.Pałka). Pierwsze pociągi wyruszyły w czerwcu-lipcu 1945 r.

Transport w dniu 13. października, o który nam chodzi, był najprawdopodobniej ostatnim (A. Pałka zapamiętał datę wyjazdu jako 14. października). Wyjechało wówczas od 20 do 40 przede wszystkim otwartych węglarek z niezbyt wysokimi burtami, na których niektórzy budowali prowizoryczne dachy. Jeden z wagonów – dla kobiet z dziećmi – był kryty. T. Gliński zapamiętał natomiast, że jedynie wagon księżowski był kryty a pozostałe były po prostu otwartymi węglarkami. Według W. Iwankowa, wszystkie rzeczy kościelne jechały w osobnym odkrytym wagonie. W każdym razie wśród nich znajdowały się m.in. obrazy kościelne, chorągwie, figury, monstrancje, serwety, być może nawet księgi parafialne. Te ostatnie stanowią zagadkę, raczej nikt nie przypomina sobie ich w Złotoryi, z kolei nie przetrwały także podobno w obecnym Rohatynie. Niektóre naczynia liturgiczne i księgi przewozili parafianie, aby oddać księdzu po przyjeździe do Chojnowa (T. Gliński, W. Iwanków). Ksiądz chciał nawet zabrać organy, balaski, obudowy ołtarzy i obrazy. Dopiero po wjeździe na tereny państwa polskiego, przesiedleńcy mogli śpiewać religijne pieśni. W. Iwanków nie pamięta, żeby po drodze ks. Dunas sprawował nabożeństwa o polowym charakterze, przeważnie jechał w cywilnym ubraniu, nieraz tylko przebierając się w sutannę. Podczas postoju w Krakowie ks. Dunas udał się do jednej z krakowskich parafii i tamtejszych księży.

Podróż trwała cztery tygodnie, nieraz stali dwa-trzy dni na bocznicy. Jechano m.in. przez Lwów, Kraków, Bytom. We Lwowie Rosjanie najpierw zażądali wódki po czym transport wypuścili dalej (W. Iwanków). A. Pałka zapamiętał wyjazd z Oświęcimia w dniu 1. listopada i dwudniowy postój w Legnicy (ok. 6. listopada).

Na ziemi złotoryjskiej

7. listopada 1945 r. (A.Pałka) pociąg dotarł wreszcie do stacji Gajewicko – taką nazwę miała początkowo stacja kolejowa w Chojnowie. W Chojnowie był już ks. Adam Łańcucki z Brzeżan i ks. Dunas podobno nie chciał być tam katechetą.

Datę miesięczną przybycia ks. Dunasa do Złotoryi znajdujemy na kartach *Kroniki parafii św. Jadwigi w Złotoryi*, którą prowadził osobiście do października 1954 r. Czytamy: *W listopadzie 1945 roku przybywa do Złotoryi ksiądz Michał Dunas i rozpoczyna się życie parafialne ludności polskiej*.

Ciekawe, że czas przybycia księdza do Złotoryi pozwalają ustalić także sprawozdania, jakie do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego nadsyłano co dziesięć dni z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Złotoryi, powstałego w sierpniu 1945 r. W dniu 7. września 1945 r. pisano: *Kościół katolicki był również częściowo uszkodzony lecz obecnie wszystko jest już poprawione. Kościół ten prowadzi również ksiądz znający polską mowę* [chodziło o niemieckiego proboszcza ks. Schnakenburga – RG], *organista i kościelny. Msze odbywają się normalnie codziennie wyłącznie dla Polaków*. Raport z 5. października skarżył się, że wśród księży i pastorów, mówiących tylko po niemiecku: *na razie trudno urobić informatora.* Natomiast raport dekadowy wysłany w dniu 14. listopada był już bardziej optymistyczny: *Praca agentury z duchowieństwem polepsza się w związku z przybyciem do Złotoryi księdza polskiego, przez co umożliwi się zawerbowanie informatora.*

Ważne jest, że w chwili przybycia pierwszego polskiego kaznodziei, na parafii znajdował się jeszcze niemiecki katolicki proboszcz oraz niemieckie siostry elżbietanki (ich siedzibą był budynek obecnego Sanepidu). Dzięki nieprzerwanej obecności duchownych kościół św. Jadwigi uniknął większych grabieży (żołnierze sowieccy szukali tutaj jedynie kosztowności, nie odnaleźli ukrytych naczyń liturgicznych w krypcie pod prezbiterium i zakrystiami, które następnie przekazane zostały ks. Dunasowi przez dotychczasowego proboszcza).

Z ks. Dunasem przyjechał z Rohatyna Leopold Kociubiński, który był tam kościelnym. Ksiądz zabrał go do Złotoryi, gdzie ów spełniał nadal częściowo obowiązki kościelnego. Przez cały czas złotoryjskiego proboszczowania towarzyszył księdzu organista Konrad Bryjanowski (Bryja) z rodziną. Przybyła też Maria Dunas, siostra proboszcza, i zamieszkała na plebanii. W Złotoryi wszyscy zadomowili się na plebanii. W złotoryjskim szpitalu pracował najprawdopodobniej brat księdza.

Posługa religijna

W Złotoryi objął obowiązki tzw. wikariusza substytuta a 1. września 1949 r. Administracja Apostolska we Wrocławiu wyznaczyła mu jako uposażenie miesięczne 80% z ofiar wpływających od wiernych do kasy parafialnej za posługi religijne. Mianowanie na stanowisko stałego proboszcza parafii św. Jadwigi otrzymał pod koniec 1951 r.

Zarówno jego niegdysiejsi ministranci, jak inni złotoryjanie, zapamiętali go jako księdza przykładającego się do odprawianej liturgii i kazań, których miał dar głoszenia. Były konkretne, ich treści potrafiły wzruszać wiernych. Przypomnijmy, że msze odprawiane były podówczas przy głównych ołtarzach a kazania z reguły głoszono z ambon.

Większość żyjących jeszcze ministrantów z owych lat (np. K. Stefańczak) nie pozwala powiedzieć o księdzu złego słowa. W ich wspomnieniach wracają regularne niedzielne wyjazdy bryczkami lub furmankami do Jerzmanic Zdroju czy Brennika na nabożeństwa (oprócz księdza proboszcza jechał obowiązkowo organista i dwóch ministrantów), udział w pogrzebach i wizytach duszpasterskich (np. M. Stalski). Podczas tych ostatnich ksiądz nie zabiegał o pieniądze, potrafił dawać je biednym. J. Gajek wspomina o pewnym wydarzeniu po mszy w Prusicach, gdy ksiądz pozostawił w prezbiterium rozrabiających na mszy chłopców i wlepił im trzy razy po rękach kropidłem, pytając za każdym razem „dobry ksiądz?” na co wszyscy odpowiadali bez zająknienia „tak!”. Ojciec W. Iwankowa, Jan, co roku przywoził ks. Dunasa na święcenia wielkanocne do Podolan. Mieszkańcy innych okolicznych wsi przyjeżdżali po księdza nawet poniemieckimi karetami.

Posługa ministrancka cieszyła się popularnością, duże grono zaangażowanych i ochotnych ministrantów trzymane było jednocześnie w odpowiedniej dyscyplinie przez księdza proboszcza. Od ołtarza potrafił zwracać czasami uwagę ministrantom, wygrażając im palcem. Jednocześnie ze starszymi ministrantami potrafił „trenować” boks, nakładając bokserskie rękawice. Karcił jednak za nielegalne wyprawy do zamkniętego i zdewastowanego kościoła Mariackiego (M. Stalski, T. Gliński). Po mszach, z okna ponad klasztorną furtą przy kościele św. Jadwigi, niejednokrotnie obdarzał dzieci cukierkami (M. Stalski).

Pierwsza komunia święta w parafii św. Jadwigi odbyła się w maju lub czerwcu 1946 r. Dzieci pierwszokomunijne pozowały do wspólnego pamiątkowego zdjęcia obok wejścia do kościoła parafialnego, tuż przed figurą św. Jana Nepomucena. W centrum grupy widzimy Proboszcza, p. Dydyńską oraz Tadeusza Musiała, kierownika szkoły. Wszystkich dzieci, w różnym wieku, jest na fotografii 56, w tym 25 chłopców i 31 dziewcząt. Dziwne, że fakt ten nie znalazł się w kronice parafialnej.

W styczniu 1946 tak pisał do Administratora Apostolskiego we Wrocławia: *Ponieważ parafia Złotoryi ma charakter wybitnie misyjny, przeto proszę o odprawianie Mszy św. w godzinach popołudniowych i o zezwolenie na odprawianie trzech Mszy św. w niedzielę. Ostatnio zorganizowałem Towarzystwo Charytatywne Caritas, prezesem jest p. Biliński Władysław. Każdej niedzieli odprawiam jedną Mszę św., potem wyjeżdżam do kaplicy.* […]*Do zniszczonego wojną kościoła wstawiam 9 okien.* […]

Z zapisków w kronice parafialnej:

1952. Parafia katolicka w Złotoryi, prócz samego miasta, liczy jeszcze i kilka wsi jak: Nowa Wieś Złotoryjska, Wyskok, Kosów, Rokitnica, Prusice, Wilków i Jerzmanice. Liczbowo trudno ująć stan parafii, ponieważ często robotnicy zmieniają pracę. Parafia liczy około 8000 dusz. Do parafii należą również trzy kościoły filialne a to: w Prusicach pod wezwaniem św. Jadwigi, w Rokitnicy pod wezwaniem św. Michała Archanioła i w Jerzmanicach pod wezwaniem św. Antoniego. […] *Na terenie parafii stanęły krzyże i kaplice jako dowód wiary katolickiej naszej polskiej ludności. Ludność chętnie brała udział w uroczystościach poświęcenia krzyża czy kaplicy.*

1957. Ks. Prymas Kardynał Stefan Wyszyński wraz z całym Episkopatem Polskim zarządza Wielką Nowennę z racji zbliżającego się Tysiąclecia Chrztu Polski: 966 r. – 1966 r. […] *Złotoryja również rozpoczęła Wielką Nowennę. W pierwszą niedzielę miesiąca maja 1957 r. w kościele parafialnym w Złotoryi odbyło się uroczyste ślubowanie ku czci M. Bożej Królowej Polski i odnowienie tych przyrzeczeń, jakie 300 lat temu wstecz – 1656 r. składał w swym i całego narodu polskiego*[imieniu] *król wygnaniec Jan Kazimierz przed cudownym obrazem Matki Bożej Łaskawej we Lwowie. Tekst ślubowań został ustalony i wydrukowany przez Episkopat Polski; obejmuje zagadnienia wiary w Boga, obronę życia nienarodzonego, poszanowania Sakramentu Małżeństwa, życia rodzinnego itp. Każdy rok Wielkiej Nowenny to dokładne naświetlenie w duchu katolickim poszczególnych zagadnień wiary i moralności, mających przyczynić się do odnowy duchowej całego narodu i przygotowania go na radosne Milenium Roku Pańskiego 1966 r.*

Wedle protokołu z wizytacji w dniu 15. października 1951: *Duszpasterz ks. Dunas – kapłan jeszcze młody ale gorliwy i zapobiegliwy o sprawy Boże. Prócz parafii, która liczy ok. 12 000 obsługuje i wyjeżdża z nabożeństwami w teren. Nabożeństw w parafii pilnuje i swoje obowiązki duszpasterskie dobrze wypełnia, według relacji miejscowego ks. Dziekana. Gospodarstwo domowe prowadzi starsza rodzona siostra.*

Wizytacja w październiku 1952 r. stwierdzała, że parafia liczy 7400 wiernych, posiadając trzy kościoły filialne (Jerzmanice Zdrój, Rokitnica, Prusice). Sióstr elżbietanek było siedem, z których jedna pracowała w kościele a pozostałe w szpitalu. Wizytatorzy zauważyli usterki w kościele parafialnym, wyrwane drzwiczki od tabernakulum, wybite jedno okno w zakrystii, stacje Drogi Krzyżowej bez podpisu, brudną wodę święconą przy wejściu, brak niektórych ksiąg, braki w innych, wadliwe protokoły przedślubne, brak inwentarzy kościołów filialnych, brak kroniki parafialnej. Uznano, że parafia jest rozległa i trudna: 150 małżeństw „dzikich”, 70 nieślubnych dzieci, 10 Świadków Jehowy, 400 ewangelików, 100 Żydów. Doceniono pracowitość proboszcza, a *zaniedbania i braki tłumaczyć należy do pewnego stopnia brakiem czasu, słabszą kontrolą ks. Dziekana oraz ogólnym, słabem wyrobieniem naszego duchowieństwa do ładu kancelaryjnego i utrzymania potrzeby estetyki w kościołach i na cmentarzach.* Zalecono chrzcić dzieci w kościele a nie w zakrystii, uzupełnić braki w dokumentacji, ożywić nurt eucharystyczny, w ramach kazań często w naukach podkreślać i omawiać sakrament małżeństwa jako podstawę i fundament życia rodzinnego.

Następna wizytacja (1953) stwierdziła tylko 20 nieślubnych dzieci i 50 „nielegalnych” małżeństw. W świątyni rozprowadzane były Tygodnik Wrocławski i Słowo Powszechne. Do zalet parafian zaliczono pobożność, do wad pijaństwo, dużą ilość małżeństw żyjących bez ślubu oraz pewną ilość Świadków Jehowy. O księdzu proboszczu napisano, że jest ochotny, pracowity, gorliwie spełnia zalecenia kurii, nosi sutannę i koloratkę i nie ma długów.

Jesienią 1954 r. proboszcz był już przekonany, że *nie może pracy podołać, tu trzeba koniecznie wikarego*. Rok później pisał w kronice: *Rozrost Złotoryi. Dzięki kopalni rudy miedzi w pobliskim Wilkowie miasto znacznie się powiększa. Rośnie osiedle górnicze przy ul. Henryka Pobożnego. Zwiększają się też i potrzeby duszpasterskie Złotoryi. Do Złotoryi przychodzi pierwszy wikary ks. Wołochowicz* [12. lipca 1955 – RG].

Wizytacja z maja 1956 r. zalecała staranniej prowadzić protokoły i księgi oraz poprawić estetykę kancelarii. Potwierdzono jednocześnie prawdziwość skargi dotyczącej nawoływania ks. proboszcza do składania ofiar na motocykl. Komitet parafialny otwarcie przyznał, że zebrał 9 500 zł na ten cel, lecz chodziło o ułatwienie dojazdu księży do kościołów filialnych i na religię. Z uznaniem odnotowano, że kościół jest otwarty od wczesnego rana do godz. 9.00 i od 16.00 do późnego wieczora.

Ksiądz spędzał codziennie kilka godzin w szkołach ucząc religii (podczas lekcji niekiedy uciekał się do zaprowadzania dyscypliny a pomocą kijka – T.Gliński). Jego nazwisko figuruje oczywiście wśród wykazów m.in. nauczycieli LO. Z kroniki parafialnej: *1953. Stosownie do polecenia Dostojnego Episkopatu zorganizowano na terenie parafii nauczanie religii po kościołach. W kaplicach filialnych nauki religii udziela organista p. Bryja Konrad. Natomiast w kościele parafialnym nauki religii udziela ksiądz. Bardzo wielkie zainteresowanie nauką wykazuje dziatwa do 7 roku życia, dzieci przychodzą do kościoła pod opieką swoich matek.*

Również i ta działalność podlegała ciągłej kontroli władz. Zachowało się np. poufne sprawozdanie wrocławskiego Wydziału ds. Wyznań ze stycznia 1955 r, w którym czytamy:

W początkach uczęszczała na naukę religii tylko młodzież ze szkoły podstawowej, tak że dzieci z tej szkoły zaraz po lekcjach uciekały ze szkoły na religię, co utrudniało w pracy kółka teatralnego, które ksiądz poprzez tą naukę starał się robić. W dniu 24 X 54 r. na kazaniu mówił do matek rugając ich za to, że nie posyłają dzieci na naukę religii, co odniosło mu pozytywny skutek, bo po tym jego ruganiu dzieci zaraz uciekały ze szkoły na naukę religii po lekcjach. Na zakończenie Roku Maryjnego zorganizował na dzień 8 XII 54r. naukę dzieci szkolnych ze szkoły Ogólnokształcącej i w tym dniu pierwszy raz z nimi miał naukę. Uprzednio w szkole tej chodziła jakaś kobieta i zapisywała dzieci na naukę religii oraz w każdej klasie zrobiła jedno dziecko grupowym, które z kolei zapisywało z klasy dzieci na naukę do kościoła. Na przykład w kl. VII grupową taką jest uczennica Trebulak. Jest on bardzo gorliwym w nauczaniu religii poza szkołą.

Wśród setek ślubów, chrztów i pogrzebów ksiądz proboszcz nie mógł odmówić udziału w tych, których bohaterami byli np. przedstawiciele aparatu bezpieczeństwa. W 1948 r, gdy podczas strzelaniny stracili życie dwaj pracownicy UB, Zygmunt Jaszcza i Czesław Bizoń, nekrologi formatu A3 informowały, że wyprowadzenie zwłok św. pamięci funkcjonariuszy odbędzie się 8. lipca o godz. 16.00 z kościoła parafialnego (czyli św. Jadwigi), a nabożeństwo żałobne za spokój dusz zmarłych odbędzie się w tym samym dniu o 7.30. Długi kondukt podążył z kościoła św. Jadwigi przez Rynek i dalej ul. M. Nowotki (dzisiaj J. Piłsudskiego) na cmentarz. Zachowało się kilka fotografii, które uwieczniły tam ks. Dunasa.

W połowie lat 50. ks. Dunas podjął inicjatywę otoczenia ściślejszą opieką duszpasterską mieszkańców Wilkowa. Tak w kronice parafialnej pisał o tym ks. Onufry Stankiewicz:

Już ks. Proboszcz mgr Michał Dunas zaczął pracować nad tym, aby w Wilkowie stworzyć ośrodek jakiegoś życie religijnego. Okazja się nadarzyła. Jeden z gospodarzy opuścił Wilków i ofiarował ogromną stodołę do użytku parafii. Na prośbę wniesioną przez parafian z Wilkowa do Rady Państwa w Warszawie – przyszła odpowiedź [dopisek inną ręką: *luty 1956*] *z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu, zezwalająca na podjęcie prac, celem przebudowy stodoły na kaplicę. Duża część mieszkańców Wilkowa z zapałem zaczęła się przykładać do gromadzenia materiałów i pieniędzy. Niestety, na skutek pijaństwa robotników i kradzieży materiałów […] jak również ze względu na nieudolne prowadzenie samych robót murarskich – zapał szybko ostygł, roboty uległy przerwaniu.*

W styczniu 1957 r. władza kościelna zleciła księdzu objęcie kapelanii więziennej w Ośrodku Pracy Więźniów w Wilkowie.

Roman Gorzkowski

c.d.n.

1. Niniejszy tekst przygotowany został z okazji sesji popularnonaukowej „Złotoryjanie” zorganizowanej przez TMZZ w dniu 15 października 2011 r.

2. Za wszelaką pomoc dziękuję ks. Prałatowi Marianowi Sobczykowi, Romanie Szczepkowskiej z Legnicy, Tadeuszowi i Danucie Glińskim, Adamowi Pałce, Danucie Sosie, Cezaremu Skale, Kazimierzowi Stefańczakowi, Józefowi Banaszkowi, Zofii Karabczyńskiej, Tadeuszowi Kuczyńskiemu, Jerzemu Gajkowi, Michałowi Stalskiemu, Antoniemu Schindlerowi, Markowi Sosnowskiemu, Lesławowi Plebankiewiczowi, Mirosławowi Sarnie ze Złotoryi, Michałowi Kujawiakowskiemu z Lubina, Władysławowi Iwankowowi z Lubiatowa, Wioletcie Michalczyk z Pielgrzymki, Wandzie Łyżwie z Sędzimirowa, Jerzemu Zborowskiemu z Kętrzyna.

3. O życiu religijnym Złotoryi w tych czasach patrz także: R. Gorzkowski, *Kościół Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Złotoryi*, Złotoryja 1999, A. Brzozowska, A. Chrzanowska, *Życie religijne* w: *Złotoryja 1211-2011* p. red. R. Gorzkowskiego, Złotoryja 2011 s. 64-82.

Drużyna Oldboy'ów na turnieju w Grodkowie grudzien 2011.

Złotoryjscy Oldboy'e

inwestują w nowe pokolenie....

O historii złotoryjskiego szczypiorniaka opowiada p. Michał Stalski, który przepracował 28 lat działając w złotoryjskiej Sekcji Piłki Ręcznej. Za zasługi dla piłki ręcznej został odznaczony najwyższym odznaczeniem ZPRP Diamentową Odznaką z Wieńcem.

Trenerze, kiedy Pan przyjedzie? Trzeba wybrać dresy i koszulki! Zdążymy przed turniejem? - słyszę zaniepokojony głos. Obracam głowę i zamiast nastoletniego podrostka widzę dorosłego, poważnego mężczyznę, przedsiębiorcę – Sławka Tomalaka, w tej chwili wyraźnie przejętego tym, czy trener dojedzie na wybór koszulek dla drużyny….. Za chwilę trener drużyny Oldbojów Edward Golanowski jest już na miejscu, oglądamy stroje i rozmawiamy o piłce ręcznej.

Barbara Zwierzyńska: Za co tak kochacie szczypiorniaka?

Sławomir Tomalak: Za nieprzewidywalność. Zmiana wyniku w ostatniej chwili, prowadzenie to jednej, to drugiej drużyny. Scenariusz niektórych meczy może zmieniać się z sekundy na sekundę. A kto z nas nie lubi dobrych filmów sensacyjnych? Dla zawodników piłka ręczna to niesamowite emocje, fantastyczny smak zwycięstwa, czasem porażki w meczu, który wydawałby się już wygrany… Czasem takie mecze wspomina się latami.

Dla mnie piłka ręczna to takie trochę zmagania współczesnych gladiatorów.

Edward Golanowski: To prawda, szczypiorniak to chyba najbardziej kontaktowy sport (przebija nawet hokeja, nie mówiąc o piłce nożnej, czy koszykówce). Ręczna to szybka gra. Kibicom podobają się supermocne i szybkie rzuty. To sport dla twardych, silnych i wytrzymałych ludzi.

Sławomir Tomalak:. Tylko z dużym zaangażowaniem można tu wygrywać, nie można liczyć na szczęście, tak jak w piłce nożnej, gdzie przeprowadzi się jedną akcję i wygrywa mecz.

Do piłki ręcznej przyczepiono łatkę gry urazowej – czy może to tylko stereotyp?

Edward Golanowski: Drobne urazy w piłce ręcznej to rzecz zupełnie normalna, jak cię nic nie boli, to albo nie grasz w ręczną, albo się obijałeś na boisku…. A tak jak w każdym innym sporcie zdarzają się też czasem kontuzje, również oldboy'om.

Sławomir Tomalak: Nie przesadzajmy, ręczna, to dla takich „starszych dzieci" jak my przede wszystkim świetna zabawa (śmieje się).

Na czym polega ta zabawa?

Sławomir Tomalak: Jako klub oldboy-'ów mamy regularne, prawdziwe treningi. Spotykamy się w każdy poniedziałek o 20.00 w Sali LO. Jest nas prawie 30 osób. Jeśli wśród czytelników jest ktoś, kto chciałby do nas dołączyć – serdecznie zapraszamy na trening. Jeździmy na turnieje oldbojów, zdobywamy kolejne puchary. Spotykamy innych pasjonatów ręcznej. Ostatni sezon to sierpniowy turniej w Złotoryi, następnie Kąty Wrocławskie, Poznań, międzynarodowy turniej na Słowacji i grudniowy turniej w Grodkowie. Jeździmy też jako kibice na ligowe i międzynarodowe mecze. Kilka dni temu nasi koledzy wrócili z Belgradu, gdzie na Mistrzostwach Europy dopingowali polską drużynę. A w maju znów organizujemy duży, międzynarodowy turniej w Złotoryi. Jeśli nie możemy jechać, umawiamy się tutaj, na miejscu w Złotoryi (w Venie lub w Pubie Kortowym) na wspólne oglądanie meczy.

Edward Golanowski

Andrzej Jeżak

Michał Stalski

Kto zakładał drużynę?

Pierwszym Kierownikiem Sekcji był pan Jerzy Kluz (późniejszy Burmistrz), współpracowali z nim Jan Golas, Jerzy Buczak a trenowali Władysław Lesiak i Jerzy Bartkiewicz. Trzon naszej drużyny seniorów składał się z tak wspaniałych zawodników jak Edward Golanowski, Tadeusz Mochocki, Jan Kościuk, Jerzy Rukawiczkin, Andrzej Jeżak i Ryszard Bieniek. Proszę zwrócić uwagę, że E.Golanowski i A.Jeżak do dziś stanowią fundament złotoryjskiej piłki , a po zakończeniu swoich karier sportowych poświęcili się szkoleniu młodzieży i do dziś się tym z sukcesami zajmują.

Podobno grały też u nas dziewczyny?

Oczywiście, to właśnie Edward Golanowski prowadził od 1976 roku drużynę kobiet. W 1978 roku dziewczyny zdobyły mistrzostwo Ligi Okręgowej i awansowały do Ligi Międzywojewódzkiej. Myślę, że warto wspomnieć nazwiska Agnieszki Wojteczek, Danusi Radkiewicz, Uli Czerniak oraz Małgosi Kwiecień.

Jakie były największe sukcesy męskiej drużyny?

W 1990 roku nasza drużyna trenowana przez E.Golanowskiego wywalczyła wejście do II Ligi. W zwycięskiej drużynie grali : E.Poznar, P.Mazur, A.Jadach, J.Gmerek, Z.Popławski, R.Zofiński , M.Klimaszewski , A.Kuba, R.Radkiewicz, L.Czyżewski, W.Piłat, R.Kuriata. Wielu z nich dziś gra w naszej drużynie Oldboy'ów. Część grała potem w pierwszoligowych zespołach na terenie Polski i za granicą.

Co Pan myśli o planach nowo założonego stowarzyszenia?

W 1998 roku z powodu braku środków, zaraz po upadku wspierających na s Zakładów Obuwia, musieliśmy zawiesić działalność naszej drużyny. Ogromnie się cieszę, że piłka ręczna w Złotoryi się odradza i że „moi" chłopcy ciągle grają w piłkę, a także, że mają energię i pomysły, żeby zrobić coś dla młodzieży. Kibicuję im z całego serca.

Tekst i zdjęcia:
Barbara Zwierzyńska-Doskocz

Atakuje Artur Kuba

Sławomir Tomalak na turnieju w Poznaniu

Nie tylko dla kombajnów

Początek „Ósemki" przy ul. Grunwaldzkiej fot. A. Młyńczak

Późną jesienią ubiegłego roku w okolicach Złotoryi pojawiła się nowa droga, która łączy nasze miasto z Nową Wsią Złotoryjską. Do drogi można dojść w dwojaki sposób: dotrzeć ulicą Zagrodzieńską do końca miasta i tam przy drogowskazie na Uniejowice skręcić w prawo tuż za byłym pegeerem. Znajdziemy się na drodze gruntowej, która po około ośmiuset metrach doprowadzi nas do nowej drogi.

Jest też inne dojście. Należy dotrzeć na ulicę Grunwaldzką, poszukać (trochę w głębi) posesji o numerze 27. Obok niej biegnie błotnisty trakt długości około stu metrów, którym dotrzemy do nowej drogi.

Jeszcze latem ubiegłego roku droga łącząca Złotoryję z Nową Wsią Złotoryjską miała nawierzchnię gruntową z licznymi nierównościami, w wielu

Podpisanie dokumentów odbioru technicznego dróg poscaleniowych fot. archiwum Starostwa

miejscach była mocno wypłukana przez deszcze, po obu jej stronach było mnóstwo wysokich krzaków zasłaniających widoczność. Teraz wygląda zupełnie inaczej. Otrzymała porządną asfaltową nawierzchnię o szerokości trzech i pół metra wraz z utwardzonym poboczem, doskonale zagospodarowany pas drogowy z rowem odwadniającym oraz nowymi nasadzeniami; krzaki po obu jej stronach zniknęły, a każda działka gruntowa ma swój zjazd lub przepust umożliwiający bezpieczny dostęp do pola. Droga pięknie meandruje wśród pól, a na każdym jej wzniesieniu można podziwiać otwierającą się ogromną przestrzeń. Dzięki tymczasowemu numerowi, jaki otrzymała podczas budowy, nazwano ją pieszczotliwie *Ósemką*.

– To my wybudowaliśmy tę drogę i jeszcze kilka kilometrów innych dróg w pobliżu – wyjaśnia Włodzimierz Chytry pełniący funkcję Geodety Powiatowego. – W sumie powstało w tej okolicy bez mała 10 kilometrów takich porządnych dróg, które służą do transportu rolnego. Jest to wynik procesu scalenia gruntów Nowej Wsi Złotoryjskiej w ramach projektu unijnego *Poprawianie i rozwijanie infrastruktury związanej z rozwojem i dostosowywaniem rolnictwa i leśnictwa poprzez scalanie gruntów* w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007 – 2013. Na ten cel Staroście Powiatu Złotoryjskiego przyznano łącznie ponad 7 milionów złotych ze środków krajowych i unijnych, przy czym ani powiat, ani gmina nie wydały na ten cel ani złotówki! Zaangażowany został jedynie potencjał intelektualny pracowników obu urzędów bez żadnych dodatkowych funduszy.

Wszystko zaczęło się dość dawno, bo w 2004 roku. Na inicjatywę scalenia gruntów Nowej Wsi Złotoryjskiej, która wyszła od starostwa, odpowiedzieli rolnicy występując z wnioskiem o przeprowadzenie tegoż scalenia. Wraz z rolnikami pod wnioskiem podpisali się inni użytkownicy i właściciele gruntów w obrębie wsi. Potem powołano zespół, który miał pełnić funkcję rady scaleniowej, aby współpracować z projektantem i wnosić uwagi do projektu.

To, co obecnie jest oczywiste i wynikające z przepisów, kiedyś nie było tak proste. Scalenia gruntów odbywały się z urzędu i służyły głównie państwowym gospodarstwom rolnym (tzw. pegeerom), którym państwo przyznawało scalone kompleksowo grunty jednocześnie lekceważąc zupełnie interesy indywidualnych rolników. Mówiło się, że komasacja to barbarzyńskie zabieranie gruntów przez państwo. W ramach takich operacji nigdy nie poprawiano, ani tym bardziej nie budowano nowych dróg. Obecnie scalanie gruntów służy tym rolnikom, którzy mają szachownicę pól, co bardzo utrudnia im prowadzenie gospodarstw rolnych. Zawsze jest to związane również z przebudową infrastruktury całej wsi (w tym budową nowych dróg i przebudową dotychczasowych). Wymogi te chronione są odpowiednimi zapisami w ustawie scaleniowej.

W ramach opracowywania założeń do projektu scalenia gruntów rolnicy spotykali się na niezliczonych zebraniach wiejskich, a potem w domach wiedli długie i gorące dyskusje na tematy bardzo żywo ich obchodzące. Jak poprawią się rozłogi pól? Gdzie zostaną wytyczone nowe drogi? W jaki sposób przebuduje się dotychczasowe? Od tego przecież zależą plony, a w efekcie – poprawa jakości życia ich rodzin. Ważne było, gdzie i jakie grunty zostaną im przydzielone, omawiano bardzo szeroko strukturę zadrzewień na obszarach, gdzie miały powstać nowe drogi, dyskutowano nad charakterem krajobrazu, który – jak się okazało – ma ogromny wpływ na jakość gleb, które znajdują się na tym obszarze. Jeszcze 40 lat temu na całym Dolnym Śląsku drogi wiejskie były obsadzone drzewami owocowymi. Pięknie kwitły na wiosnę przyciągając pszczoły, a latem i jesienią do owoców przylatywały liczne ptaki. Gdy w latach siedemdziesiątych drzewa te wycinano, nikt nie pytał rolników, jakie to może przynieść skutki. Posadzono topole, które szybko rosły i jeszcze szybciej umierały. Po kilku latach topole również wycięto i drogi pozostały łyse, bez zadrzewień. To z kolei powodowało intensywną erozję gleby. Podczas mroźnej, wietrznej i bezśnieżnej zimy ziemia bez osłony w postaci zadrzewień potrafi stracić nawet kilka centymetrów humusu! To bardzo niekorzystne zjawisko, które ma ogromny wpływ na wielkość plonów. I właśnie teraz, korzystając ze swoich uprawnień, rolnicy ustalili, że drogi zostaną obsadzone krzewami i drzewami owocowymi.

Obelisk w Nowej Wsi Złotoryjskiej upamiętniający budowę drogi, fot. archiwum Starostwa

Dolnośląskie Biuro Geodezji i Terenów Rolnych we Wrocławiu przy wydatnej współpracy mieszkańców wsi, Gminy Złotoryja oraz Starostwa Powiatowego w Złotoryi opracowało *Założenia do scalenia*. W opasłym dokumencie opisano dotychczasowy stan gruntów, opracowano studium glebowe pod kątem przydatności do produkcji rolnej, strukturę własnościową, obszarową, zadrzewień, opisano krajobraz. Całość opatrzono licznymi mapami. W założeniach też pojawił się plan ścieżki rowerowej na starym nasypie kolejowym. Jednak z uwagi na trudne sprawy własnościowe oraz inne czynniki ta część planu nie została zrealizowana.

Dopiero teraz można było przystąpić do scalania gruntów.

Osobą, która spinała i koordynowała wszystkie poczynania, będąc jednocześnie mediatorem w wielu niełatwych sprawach, był Geodeta Powiatowy – kierownik Wydziału Geodezji, Katastru i Gospodarki Nieruchomościami Starostwa Powiatowego w Złotoryi Włodzimierz Chytry, który tak podsumowuje przedsięwzięcie:

– Przyznam, że nie były to łatwe sprawy. Wiele z nich było dla nas zupełną nowością, przecieraliśmy szlaki. Na Dolnym Śląsku jesteśmy pierwsi, jeśli chodzi o zakończenie tego typu zadania. Chciałbym serdecznie podziękować pracownikom Urzędu Wojewódzkiego, Wydziału Geodezji i Kartografii Urzędu Marszałkowskiego, Urzędu Gminy Złotoryja oraz sołtysom. Szczególnie jestem wdzięczny za dobrą współpracę pani Ewie Małek oraz panu Mikołajowi Smykowi – dyrektorowi Dolnośląskiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych za fachowość, zaangażowanie oraz pomoc przy realizacji tego trudnego tematu.

W ramach zagospodarowania poscaleniowego zaprojektowano, wybudowano i przebudowano 9,9 kilometra dróg. Niektóre z nich wytyczono na nowo, jednak większość wybudowano na dotychczasowych drogach gruntowych. Inwestor zastępczy, czyli DBGiTR rozpisało przetarg na budowę dróg, który wygrało Przedsiębiorstwo Transportowo – Budowlane z Wrocławia. Budowę rozpoczęto w maju 2011 roku, a ukończono w listopadzie. To była rekordowo szybka budowa.

– Odbiór techniczny już się odbył, drogi są oddane do użytku – mówi wójt Gminy Złotoryja, Maria Leśna. – Teraz my będziemy właścicielem wszystkich tych dróg i naszym obowiązkiem będzie dbać o nie i je utrzymywać. Chcę podkreślić, że nowe drogi mają bardzo dobry standard, odpowiednią nośność i szerokość. Jest to wymóg dla ciężkich pojazdów, których obecnie używają rolnicy. Teraz mają komfortowy dojazd do pól. Na tę okoliczność w Nowej Wsi Złotoryjskiej postawiono obelisk z bazaltu z tablicą upamiętniającą budowę tej sieci dróg

Asfalt kończy się na granicy miasta, bowiem projekt unijny nie przewidywał budowy drogi na gruntach miejskich. Na terenie miasta to jedynie marne błotniste sto metrów, które po otrzymaniu twardej nawierzchni mogą się przeobrazić w drogę z prawdziwego zdarzenia. I jeśli tą drogą wybierzemy się wiosną na rowerową wycieczkę, poczujemy pachnący wiatr, na skórze ciepłe promienie słońca, a z niedalekich zagajników dobiegnie nas śpiew ptaków, wtedy z całą pewnością będziemy mogli powiedzieć: to jedna z najpiękniejszych dróg w okolicy Złotoryi.

– Zakazu jazdy na rowerach tam nie ma – mówi Włodzimierz Chytry. – Drogi przeznaczono nie tylko dla kombajnów, traktorów, innych maszyn rolniczych, lecz mają służyć również wszystkim okolicznym mieszkańcom oraz ich gościom, należy tylko stosować się do znaków drogowych. Dlatego proszę nie jeździć tam szybciej niż 30 kilometrów na godzinę oraz nie przewozić na bagażniku ciężaru powyżej ośmiu ton! – dodaje z uśmiechem.

Agnieszka Młyńczak

Rząśnik

Wieś położona jest na granicy Gór Kaczawskich i Pogórza Kaczawskiego, wzdłuż rzeki Czermnica. Zabudową łączy się z Sokołowcem i dla niewprawionego turysty może stanowić jedną całość.W skład Rząśnika wchodzą kolonie Orzechowice, Posepsko, Sądrecko.

Wieś datowana jest na XIII wiek. Wiadomo, że na przestrzeni kilku stuleci właścicielami wsi byli von Zedlitz (znany na Śląsku ród arystokratyczny), von Nimptsche, Millerowie.

Najstarsza nazwa miejscowości to Schiwalde, później nazwa zmieniała sie na Sonewald, Schonwald (świerzawski las) a po drugiej wojnie światowej wieś nazywano Kseniówka, Stalowa Wola oraz Rząsnik.

Podobnie jak w przypadku poprzednio opisywanych miejscowości jest to średniej wielkości wieś łańcuchowa.

Rząśnik należał do bogatych dóbr. Świadczyć mogą o tym zachowane pozostałości pałacu, który należał do okazałych rezydencji na Śląsku.

Bez wątpienia jedną z atrakcji Rząśnika jest barokowy pałac wybudowany według projektu wybitnego architekta Martina Frantza Młodszego zwanego również Szwedem, gdyż pochodził z Tallina, który wówczas należał do Szwecji. Zaprojektował ponad 40 budowli barokowych na Śląsku, w tym pałac w Rząśniku. Budowę rozpoczęto w 1734 roku. Ostateczny kształt pałacu odbiegał od pierwotnych planów, sama budowla ze względu na trudności finansowe ówczesnych właścicieli została zakończona dopiero pod koniec XVIII wieku.

Budynek przedwojennej gospody. Dzisiaj mieści się tam sklep. Na drugim planie jedne z ciekawszych domów szachulcowych w tym rejonie.

Budynek jest trójkondygnacyjny, podpiwniczony, posadowiony na rzucie prostokąta z trzema niewielkimi ryzalitami (występ z lica fasady), wejściem do pałacu oraz wyjściem do ogrodu, co zwiększa jednocześnie kubaturę budynku. Widoczne są również dwa charakterystyczne skrzydła budynku. Pałac był pierwotnie nakryty wielospadowym dachem mansardowym z czerwonej dachówki. Ten rodzaj dachu został spopularyzowany w epoce baroku przez francuskiego architekta Mansarta. Jest to tzw dach łamany. Dzięki swojej konstrukcji poddasze staje się częścią użytkową. Do pałacu przylegał około dwuhektarowy park z niewielkim stawem, a w nim neogotyckie pawilony.

Przed pałacem znajdował się okazały pomnik z orłem wzbijającym się do lotu. Było to upamiętnienie poległych mieszkańców Rząśnika w wojnie francusko-pruskiej z lat 1870-1871. Warto nadmienić, że w wyniku wojny Prusy doprowadzą do zjednoczenia księstw niemieckich i powstania II Rzeszy Niemieckiej. Pomnik jet widoczny na starych pocztówkach.

Pomimo upływu czasu pałac nadal robi ogromne wrażenie rozmachem architektonicznym jak i wielkością. Warto nadmienić, że w budynku było 60 pomieszczeń.

Na starych pocztówkach przedstawiających Rząśnik obok pałacu znajduje sie kościół ewangelicki, kościół katolicki, szkoła ewangelicka i pomnik z wojny francusko-pruskiej.

Przyjrzyjmy się niektórym z tych obiektów, które w różnej fomie przetrwały do dnia dzisiejszego lub już nie istnieją.

Kościół ewangelicki, lub, jak należało mówić w XVIII wieku, ewangelicki dom modlitewny, to charakterystyczna budowla dla Sudetów. Został wzniesiony w 1748 roku. Zgodę na budowę wydał król pruski Fryderyk II. Łącznie na Śląsku powstało ponad 200 takich budowli. Była to budowla ryglowa, zwana murem pruskim. Kościół był jednonawowy na planie prostokąta, przykryty dachem naczółkowym, przebudowany w 1919 roku. W 2008 roku rozebrano budynek i przeniesiono do Łomnicy, gdzie ma być na nowo zrekonstruowany. W 2011 roku wmurowno kamień węgielny pod odnowę domu modlitwenego z Rząśnika w Łomnicy.

Kolejnym obiektem, który należy zobaczyć, jest kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej.

Pierwotnie była to budowla romańska. W 1505 roku kościół został przebudowany na budowlę późnogotycką. Obecnie jest świątynią jednonawową z przylegającą od zachodu masywną wieżą.

W XVIII wieku wnętrze zostało wyposażone na wzór barokowy. Możemy zobaczyć polichromowane ołtarze. Z XVII wieku pochodzi polichromowana ambona.

Na XV wiek datowana jest kamienna chrzcielnica i sakramentarium przyścienne. Sakramentarium jest charakterystycznym elementem dla budowli gotyckich. Pełni podobną rolę co tabernakulum.

Obok kościoła znajduje się barokowa plebania z początku XVIII wieku. Wiele budynków pochodzących z XIX wieku posiada konstrukcję szachulcową.

Rząśnik jest bez wątpienia atrakcyjnym miejscem pod względem turystycznym. Walory przyrodnicze oraz architektoniczne zachęcają do wycieczek pieszych i rowerowych zwłaszcza w okresie od wiosny do jesieni. Dlatego każdy turysta powinien odwiedzić miejscowość i poruszając się wyznaczonymi szlakami zwiedzać miejscowość, lub przygotować sobie własny plan wycieczki, aby móc podziwiać ten urokliwy zakątek gminy Świerzawa.

Czesław Leśniak

Miniona świetność

Kiedyś to była znacznie większa wieś niż dzisiaj - mówi Andrzej Kozłowski, były sołtys Rząśnika, pasjonat historii, ale przede wszystkim rolnik i dzierżawca majątku po von Zedlitzach, von Holtzhausenach i Voglerach, pan na pałacu w Rząśniku, a w sumie na jego ruinach. Brzmi to jak żart, ale żartem nie jest. Agencja Własności Rolnej, właściciel dawnych popegeerowskich dóbr, nawet nie chce słyszeć, żeby oddzielić pałac od całości gospodarstwa, więc pan Andrzej, chcąc nie chcąc, musi doglądać rozpadających się murów i płacić za ich dzierżawę. Żeby tylko na doglądaniu się skończyło. Nie tak dawno konserwator zabytków nakazał zadaszenie ruin pałacu. Pomysł w sumie słuszny, bo być może przedłużyłoby to agonię tej niegdyś najcenniejszej i najokazalszej rezydencji na Pogórzu Kaczawskim. Tylko skąd wziąć miliny potrzebne na ten cel? Na samą więźbę dachową trzeba wyciąć z hektar lasu. Na ratowanie zabytku nie stać było właściciela - Agencji Rolnej, ani państwa. Nie widać też kolejki milionerów - pasjonatów, którzy byliby skłonni przywrócić świetność zabytkowi. Skąd ma więc na to wziąć pieniądze rolnik?

Sprawa pałacu stoi też na przeszkodzie w wykupie gruntów od Agencji, ponieważ ma być to transakcja wiązana - z pałacem, który też ma określoną, wcale nie niską cenę.

Główne wejście do pałacu

Detale architektoniczne nad oknami.

W 1945 roku pałac zajęli Rosjanie. Garnizon rosyjski mieścił się zaś w obecnym domu państwa Kozłowskich. Osobą, która zarządzała pałacem, była Rosjanka o imieniu Wiera. Natomiast folwarkiem zarządzał aż do roku 1957 Niemiec o nazwisku Neumann. Kilka lat temu pan Neuman odwiedził Rząśnik. Opuszczając pałac, Rosjanie prawdopodobnie pozostawili go w dobrym stanie. Po przejęciu majątku przez Polaków utworzono PGR. W sumie gospodarstwo miało ok. 700 ha powierzchni. Na początku lat 60. kierownikiem PGR był pan Popowicz, później pan Arczewski. Mniej więcej w tym czasie prawdopodobnie marynarka wojenna chciała utworzyć w pałacu sanatorium. Ale czy na pewno miał to być ośrodek tego typu? Opierając się na opowieściach starszych mieszkańców wioski, Pan Andrzej wątpi. Zamknięto pałac i intensywnie kuto dziury we wnętrzu. Być może była to próba adaptacji obiektu, a być może czegoś szukano, a może po prostu grabiono. Pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy wojsko opuściło pałac, postawiono tam piece i wprowadzono ludzi – pracowników PGRu. Z ówczesnych mieszkańców pan Andrzej może wymienić nazwiska: Broniszewski, Ziembora, Żyłka. Około roku siedemdziesiątego kierownikiem PGR został pan Rudnicki. Długi czas PGRem kierował pan Marian Matusiak obecny przewodniczący rady miasta i gminy Świerzawa, kierownikiem był też pan Targosz i pan Kowalski. Pałac cały czas przynależał do PGRu. Niestety nikomu tak naprawdę chyba nie zależało na jego utrzymaniu. Potężny budynek zapewne był kosztowny w eksploatacji, wymagał napraw, okresowych remontów. Prawdopodobnie pomiędzy rokiem 1963 i 70 wykonano remont dachu. Z tego też okresu pochodzi zdjęcie obok. Z budynku korzystano, dopóki się dało, zamiast remontować, rozpoczęto budowę dużego, niezharmonizowanego z dotychczasową zabudową budynku nieopodal pałacu w strefie ochrony konserwatorskiej, którego zresztą nie dokończono. Być może i sami mieszkańcy powoli dewastowali obiekt tak samo jak w pobliskim Sokołowcu, gdzie więźba dachowa stopniowo niknęła w domowych piecach. Gdy ok. 1977-78 r. ostatni mieszkańcy opuścili budynek, zaczęto pustoszyć wnętrza z detali architektonicznych. Pałac stał się rezerwuarem materiałów budowlanych. Gdy w 1987 r. zadaszano wagę w PGRze, użyto dachówek z pobliskiej budowli. Reszty dopełnił dziurawy dach, woda, mróz i wyrastające wewnątrz drzewa.

Ochrona budowli ograniczono do zamurowania okien na parterze, ale ludzie i tak co jakiś czas wybijają dziury, by dostać się do środka. Na zewnątrz można jeszcze dostrzec rozsypujące się detale architektoniczne. Portal drzwi wypełniono pustakami…

Dziś ruina straszy pustymi oczodołami okien. Wewnątrz rosną dorodne drzewa. Od czasu do czas słychać huk zapadających się stropów czy murów. Nie ma raczej nadziei, że ktoś zechce kupić ten obiekt. Był wyceniony w 2001 r. na około 240 tys. złotych. Trzeba wielu, wielu milionów złotych i nie lada desperacji, a to towar bardzo deficytowy.

Poniżej pałacu wybudowany był staw, który miał za zadanie odwadnianie piwnic. Do stawu doprowadzono drenaż z budowli oraz z tunelu, który prowadził obok pałacu ok. 1,5 km w kierunku Berkowa (kolonia Rząśnika). Drugie wejście do tunelu było przy kościele. Żyją jeszcze ludzie, którzy chodzili tym tunelem.

Osobnym tematem są zabudowania folwarczne obok pałacu. Była tam kiedyś piękna palmiarnia, ale ktoś kazał ją zrównać z ziemią. Jej elementy odnaleziono, gdy wypuszczono wodę ze stawu. Po prostu przyjechał spychacz i prawdopodobnie zepchnął ją do wody.

Zdjęcie wykonane prawdopodobnie pomiędzy rokiem 1963 a 1970, po remoncie dachu. Źródło: hydral.com.pl

Fron pałacu obecnie.

Zabudowania folwarczne obecnie.

Dzisiaj budynki gospodarcze wymagają gruntownego remontu, na który nie chce zgodzić się Agencja Rolna. Pośrodku zabudowań stoi ciekawa budowla. Jest to kilkunastometrowa wieża. Być może był to kiedyś po prostu gołębnik. Obok dom mieszkalny o ciekawej architekturze, z nieczynnym zegarem u zwieńczenia dachu.

O tym, że była to zamożna i duża wieś, świadczy cmentarz poniemiecki. Przykryty śniegiem ukrywa to, czego powinniśmy się wstydzić: zdewastowane nagrobki. Chwilę kluczymy wśród mogił, które niegdyś były ozdobne w rzeźbione w piaskowcu figurki. Przechodzimy aleją starych drzew i podążamy ku wyjściu. Wiem, że trzeba będzie tu wrócić wczesną wiosną, gdy śnieg odkryje to pobojowisko.

Na jednej z płyt napis: „Grobom ofiarowuje wiara oblana łzami ofiary, tu miłość ziemski pył zmywa ze swego oblicza, tu w błogiej ciszy wzbija się ku niebu ze wzgórza umarłych po rozgwieżdżonej drodze nadzieja na swych skrzydłach.” (tłumaczenie: Anna Chrzanowska).

Dziękuję panom Andrzejowi Kozłowskiemu, Lesławowi Połowinowi oraz Zbigniewowi Mosoniowi za pomoc w przygotowaniu tego tekstu.

Robert Pawłowski

Pomnik bitwy o Złotoryję

Długo się zastanawiałem, jak powinienem rozpocząć ten artykuł, aby dobrze przekazać apel o uratowanie pomnika Bitwy o Złotoryję. Doszedłem do wniosku, że dobrze będzie przypomnieć datę owej bitwy. Było to 22. i 23. sierpnia 1813 roku.

Bitwa ta – tak właśnie została zakwalifikowana w raportach, opisach i wspomnieniach biorących w niej udział oficerów i żołnierzy – była jedną z istotnych podczas kampanii 1813 roku toczonej przez Napoleona na Śląsku. Dość powiedzieć, iż po obu stronach zaangażowanych było blisko 100.000 żołnierzy. Złotoryja była zdobywana z dwóch stron, od południa – dzisiejszy pl. W. Reymonta, ulice Basztowa i M. Konopnickiej oraz północy - dzisiejsza ul. Chojnowska i pl. J. Matejki. Działania rozpoczęły się daleko na przedmieściach Złotoryi, z jednej strony w Jerzmanicach Zdrój – zdobywano Wilczą Górę, a z drugiej toczono walki o zejście w dolinę Kaczawy: Nowa Wieś Złotoryjska i Wyskok.

Właśnie 23. sierpnia na polach Wyskoku rozegrała się połowa część Bitwy o Złotoryję. Na lekko pofałdowanych polach pomiędzy Nową Wsią Złotoryjską a dzisiejszymi stawami przy ul. Chojnowskiej Francuzi rozlokowali baterię 30 ciężkich dział, które miały za zadanie ostrzeliwać rejony Górki Mieszczańskiej i Góry Mikołaja uniemożliwiając w ten sposób

ucieczkę wojsk pruskich z miasta w stronę Kopacza i dalej Rokitnicy. Wysłany w kierunku Wyskoku 2. Batalion 3. Wschodniopruskiego Pułku Piechoty wspierany przez półbaterię artylerii konnej został ostrzelany przez część dział pod Nową Wsią Złotoryjską. Szturm Prusaków na francuskie działa został skutecznie zatrzymany przez francuską kawalerię i piechotę. Prusacy nierzadko w popłochu ratowali się ucieczką z pola walki. Próby ponawiania szturmu skończyły się koniecznością uformowania przez Prusaków czworoboków obronnych, które na krótko zatrzymały atakujących Francuzów. Sytuacja była na tyle tragiczna, iż groziła zagładą Batalionu.

W godzinach popołudniowych na odsiecz walczącym Prusakom przybywały kolejno wysyłane formacje rosyjskiego koalicjanta. Działania te w niewielkim stopniu poprawiły tragiczne położenie oddziałów pruskich. Około godziny 15 [00] formacje pruskie i rosyjskie rozpoczęły generalny odwrót z samej Złotoryi i okolic Wyskoku drogą do Rokitnicy oraz polami w rejonie dzisiejszego „osadnika”.

Francuzi w Bitwie o Złotoryję zaangażowali ogromne środki i tylko zmasowany odwrót koalicjantów przesądził o tym, że Bitwa o Złotoryję nie przeistoczyła się w bitwę generalną na Śląsku. Do takiej bitwy doszło już 26 – 27 sierpnia 1813 r. na Płaskowyżu Janowickim. Po Bitwie o Złotoryję oficerowie francuscy w swych raportach pisali o ogromnej liczbie zabitych, szacowano, iż zginęło po obu stronach 5.000 – 6.000 żołnierzy. Była to jednak liczba mocno wyolbrzymiona, zapewne chciano w ten sposób niejako usprawiedliwić ogrom sił i środków zaangażowanych podczas walk. Jedno jest pewne, straty musiały być znaczne po obu stronach. Dokładny opis Bitwy zawarł w swej książce – „Kampania 1813 Śląsk i Łużyce” Mariusz Olczak – strony 413 do 426.

Opis ten jest dostępny na stronie internetowej www.gminnafotografia.cba.pl lub www.gminnafotografia.blo.pl.

Było ówczesnym zwyczajem, iż poległych grzebano we wspólnych mogiłach i tak wczorajsi antagoniści „bratali” się we wspólnym grobie. Czy można pokusić się o twierdzenie, iż obelisk w Wyskoku wskazuje mogiłę żołnierzy pruskich, rosyjskich i francuskich? Wprawdzie został on wzniesiony przez władze pruskie w 1913 roku, a widniejąca (coraz słabiej) inskrypcja głosi bohaterstwo wojsk pruskich w Bitwie o Złotoryję, to jednak wzorując się na Bitwie pod Chojnowem, gdzie raporty obu stron twierdzą, iż żołnierze polegli w tej Bitwie zostali pochowani przy drodze Złotoryja-Chojnów we wsi Gołaczów po północnej stronie drogi, można zaryzykować tezę, iż obelisk może wskazywać zbiorową mogiłę Bitwy o Złotoryję.

Miejsce to dzisiaj jest mocno zaniedbane, jednak jeszcze kilka lat temu widziane były złożone pod nim kwiaty przewiązane wstęgą z napisem w języku niemieckim. W rocznicę Bitwy o Złotoryję jak i 1. listopada ktoś stawia znicz pod obeliskiem.

Czasy bitew napoleońskich przeminęły, przeminęły również ówczesne antagonizmy.

Jak widać - pozostała pamięć o tamtych wydarzeniach, które przecież miały miejsce tu, gdzie dzisiaj mieszkamy. Czy nie powinniśmy mimo wszystko zadbać o obelisk Bitwy o Złotoryję?

Wystarczy posprzątać nawiezione tam śmieci, wyciąć krzaki, wykosić trawę.

Zbliża się 200 rocznica tamtych wydarzeń, możemy spodziewać się w 2013 roku gości i to zarówno z Francji jak i Niemiec. Uważam, że wzorem sąsiedniej Gminy Krotoszyce, gdzie wyremontowano muzeum Bitwy nad Kaczawą i obeliski upamiętniające te wydarzenia, powinniśmy także zadbać o obelisk upamiętniający Bitwę o Złotoryję.

Cezary Skała

Heraldyka samorządowa powiatu zotoryjskiego cz. 4

Herb Świerzawy

Świerzawa to mała, historyczna miejscowość, która prawa miejskie otrzymała w drugiej połowie XIII wieku. Jej herb posiada dosyć długą tradycję. Na przestrzeni wieków zmieniał się, lecz nieznacznie, a jego główny element, otwarta prawa dłoń, towarzyszy miastu od początku aż do dziś.

Jak wiadomo, herby mają swój początek w pieczęciach miejskich. Wizerunek, który na nich widniał, najczęściej stawał się następnie herbem. Najstarsza znana nam pieczęć Świerzawy pochodzi z 1403 roku i obecnie znajduje się w Muzeum Historycznym we Wrocławiu. Jest to pieczęć okrągła o średnicy 51 mm. Przedstawia prawą dłoń wyrastającą z mankietu zapiętego na guzik, umieszczoną w arkadzie wspartej na dwóch kolumnach z głowicami kostkowymi, w tle widnieje naturalistyczny ornament roślinny w kształcie gałązek bez liści. Napis otokowy zapisany majuskułą łacińską brzmi: + SIGILLUM . CIVITATIS . SCHONOW +. Kolejna pieczęć pochodząca z XV wieku ma już 41 mm średnicy a legenda wokół wizerunku zmienia się na: + sigillum * civitatis * schonaw *. Na pieczęci ławniczej z roku 1536 umieszczona jest sama dłoń otoczona napisem: + s. schabinorum. in. schonaw. Znany niemiecki heraldyk Saurma podaje także taką samą pieczęć z końca XVI wieku ze zmienioną inskrypcją z minuskuły na majuskułę: SIGILLUM.CIVITATIS.SCHONAW. Kolejna pieczęć o średnicy 28 mm pochodzi z około 1650 roku, na niej widnieje: * SIGILLUM *CIVITATIS * SCHONAW *. Inna o średnicy 34 mm, prawdopodobnie z 1738 roku mówi: „SIGILLVM.REGIAE.CIVITATIS. SCHOEN...172.”

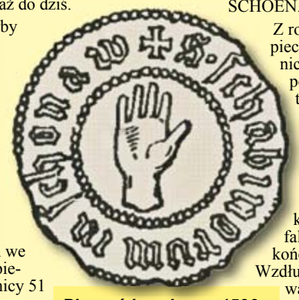

Pieczęć ławnicza z 1536 roku z herbarza Hugo Saurmy

Z roku 1745 pochodzi pieczęć owalna o średnicy 23:20 mm. W polu tarczy herbowej typu renesansowego przedstawiona jest lewa dłoń w pionie od wewnątrz. Nad tarczą widnieje pięciolistna korona, spod której po bokach tarczy opadają faliście sznury zakończone pomponami. Wzdłuż owalnego obwarowania tłoku widnieje zapisana majuskułą legenda: SIGILLVM REGIA SCHOENAVIENSIS CVITATIS 1745. Istnieje także taka sama pieczęć tylko o innych wymiarach - 25:23 mm. W obu pieczęciach oraz w innej pochodzącej z roku 1841 z takim samym wyobrażeniem występuje błąd w zapisie słowa „CVITATIS” (prawidłowo: civitatis).

Wyglądem różni się pieczęć z 1748 roku, na której widnieje pruski orzeł z koroną. Z początku XIX wieku pochodzi inna, o średnicy 33 mm, przedstawiająca w polu tarczy herbowej typu francuskiego lewą dłoń ludzką w pionie od wewnątrz. Tarcza jest okryta gronostajem zwieńczonym pięciolistną koroną, obręcz korony zdobna kamieniami a po bokach - płaszcz zebrany w bufy zdobne sznurami zakończonymi pomponami. W otoku legenda zapisana majuskułą brzmi: MAGISTRATS SIEGEL DER STADT SCHOENAU.

Flaga Świerzawy

Znane są także inne pieczęcie używane przez miasto, takie jak Kasy Miejskiej (STADT HAUPT KASSE SCHOENAU) czy Urzędu Policji (DAS POLIZEI AMT ZU SCHONAU lub POLIZEI-VERWALTUNG * SCHONAU A.D. KATZB) na których widnieje herb Świerzawy. Ich przedstawienie nie różni się znacznie od wcześniej opisywanych.

Tak prezentuje się nam zbiór materiałów historycznych dotyczących pieczęci i herbu Świerzawy. W roku 1973 miasto zostało zdegradowane i stało się wsią, a prawa miejskie uzyskało ponownie w 1984 roku. Współcześnie na herbie także dokonywano pewnych modyfikacji. Nadany przez Radę Miasta i Gminy uchwałą nr 31/VI/90 28 września 1990 roku przedstawiał pośrodku tarczy herbowej prawą dłoń z rozszerzonymi palcami, która wyrasta z mankietu rękawa ozdobionego stylizowanym motywem roślinnym w kształcie litery „S”. Kolejna uchwała nr 255/XXXIX/98 z dnia 23. lutego 1998 roku ukazuje taki sam herb wraz z trzema wieżami obronnymi z blankami, które według rady symbolizują istnienie trzech zamków na terenie gminy, w Sędziszowej, Świerzawie i Starej Kraśnicy. 24. września 2003 roku uchwałą nr 67/XI/2003 dokonano zmian w herbie. Trzy czerwone wieże obronne znajdujące się wcześniej nad polem tarczy herbowej zostały umieszczone w niebieskim polu nad dłonią. W tym samym roku, 3. października burmistrz miasta i gminy wystosował pismo do Komisji Heraldycznej, w którym poprosił o uzyskanie opinii na temat poprawności heraldycznej herbu Świerzawy. Odpowiedź była negatywna.

Herb na ścianie ratusza

Okazało się, że tzw. korona murowa, stanowiąca dodatek do herbu miasta, wprowadzona za czasów pruskich, zapewne w połowie lub w drugiej połowie XIX wieku, została niepotrzebnie połączona z godłem. Wcześniej występowała ona nad tarczą a nie w niej. W tamtych czasach wiele miast pruskich wieńczyło tarczę herbową koroną w kształcie umocnień miejskich z trzema bądź więcej wieżami, jako zewnętrznym elementem herbu, określało to ich miejski charakter. Jest to najbardziej rozpowszechniony dodatek heraldyczny, występujący głównie na Śląsku, Pomorzu oraz w Wielkopolsce, upowszechniony w ramach heraldyki napoleońskiej. Ilość wież natomiast była uzależniona od wielkości miasta. Małe miasta powinny umieszczać koronę z trzema wieżami, jednak już w XIX wieku nie przestrzegano tej zasady. Element ten był trwały w niemieckiej heraldyce miejskiej aż do połowy XX wieku. Świadczą o tym zachowane na wielu ratuszach kamienne przedstawienia herbów miejskich wraz z koronami murowymi, które pochodzą z XIX i XX wieku. Takie właśnie przedstawienie widnieje na ścianie ratusza w Świerzawie, które pochodzi zapewne z okresu budowy lub zaraz po jego wybudowaniu, czyli z początku XIX wieku. Korona murowa jest to element obcy polskiej heraldyce miejskiej i należy z niej zrezygnować, tak jak uczyniło to wiele miast w Polsce zachodniej i północnej. Natomiast przypisywanie wieżom symbolizowania trzech zamków z terenu gminy jest błędną interpretacją. Jak dodaje S. Kuczyński, prawidłowy herb powinien przedstawiać w polu tarczy błękitnym dłoń w złotym rękawie, tak jak widnieje to na starych pieczęciach miasta.

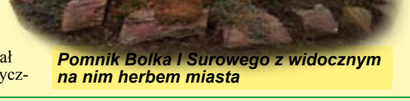

Pomnik Bolka I Surowego z widocznym na nim herbem miasta

Wizerunek herbu znajdujący się na drzwiach ratusza

Wizerunek dłoni można interpretować też jako przedstawienie „ręki pańskiej”. Wycięta z drewna, zawieszona na poprzecznym ramieniu krzyża, na rynkach miast średniowiecznych symbolizowała zgodę władcy na posiadanie własnego targu oraz pokoju przysługującego miastu. Wiązały się z tym uprawnienia sądownicze ław miejskich, prawo składu i jego egzekwowanie przez władze miejskie. Gdy prawo składu i przymusu drogowego traciło znaczenie, przedstawienie dłoni zaczęto utożsamiać z symbolem sprawiedliwości.

Jak widać, od najdawniejszych czasów istnienia Świerzawy herb przechodził pewne zmiany. Niegdyś była to dłoń umieszczona w arkadzie na dekoracyjnym roślinnym tle, następnie dodawano różne elementy takie jak np. trzy wieże, a inne zabierano, jednak zawsze widniała tam uniesiona, otwarta dłoń symbolizująca przyjaźń, powitanie i otwartość. Dzisiejszy jego obraz nawiązuje do historii i tradycji miasta, jednak zaleca się usunąć z jego pola wspomnianą koronę murową, gdyż element ten nie powinien się tam znajdować.

Flaga, którą posługuje się gmina, tradycyjnie kolorystyką nawiązuje do kolorów herbu. Pełny opis flagi brzmi: prostokątny płat tkaniny w kolorze biało-niebieskim w ułożeniu poziomym z wizerunkiem herbu miasta i gminy umieszczonym pośrodku białego płatu. Początkowo, według uchwały nr 255/XXXIX/98 Rady Miasta i Gminy Świerzawa z dnia 23. lutego 1998 roku, herb znajdował się w lewym górnym rogu flagi. Wraz ze zmianami, jakie wprowadziła uchwała nr 67/XI/03 24 września 2003 roku został on przesunięty na sam środek górnego białego pasa. Zmienił się także wygląd herbu we fladze, korona murowa przedstawiana wcześniej nad tarczą została wcielona do środka i widnieje nad dłonią. Komisja Heraldyczna, z uwagi na znajdujący się we fladze nieprawidłowy wizerunek herbu, zaopiniowała jej projekt negatywnie.

Mateusz Gralak

Zapomniane - odszukane

Na tarczy!

Raz jeszcze wracamy do starych tarcz szkolnych. Tym razem dotyczą one kilku nieistniejących już szkół złotoryjskich. Są zarazem jednymi z nielicznych ich sentymentalnych pamiątek.

Nieustannie zachęcamy do kolekcjonowania również takich przedmiotów. Przypominamy, że zbiera je Izba Tradycji Oświaty w siedzibie TMZZ – będziemy wdzięczni za ich ofiarowanie również jako depozyt. Kontakt w tej sprawie najlepiej nawiązać z Janiną Kałużą bądź Małgorzatą Pokrywką.

Przemysław Markiewicz
Roman Gorzkowski

Zebranie Walne TMZZ

Zarząd Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zaprasza wszystkich członków na doroczne Walne Zebranie Sprawozdawcze – w dniu 1 marca 2012 r. o godz. 17^{00} w sali konferencyjnej Domu Nauczyciela „Bacalarus” w Złotoryi ul. Szkolna 1 (parter).

Podczas zebrania podsumowana zostanie działalność TMZZ w 2011 r. oraz przedstawione plany na rok bieżący.

Zarząd TMZZ

Warto przeczytać

Powiatowe atrakcje

Przed nami kolejna uaktualniona edycja wydawnictwa propagującego najważniejsze miejsca Powiatu Złotoryjskiego. W bogato ilustrowanej treści znajdziemy opisy wszystkich jego gmin i miast, obszerny informator z najważniejszymi adresami, mapę, wykaz najważniejszych atrakcji i ciekawostek kulturalnych, sportowych i przyrodniczych oraz zabytków.

Zamieszczono także kalendarz imprez. Ten ostatni mógłby zawierać ich więcej, również organizowanych np. przez inne organizacje niż tylko te, na które zwrócono uwagę. I tutaj nam się marzy, aby Starostwo Powiatowe było corocznym wydawcą obszernego kalendarza wszystkich imprez, które odbywają się na terenie powiatu – byłaby to nie tylko świetna jego promocja, ale także sposobność do wyciągnięcia wniosków przez licznych organizatorów. Miałby również wpływ na aktywność mieszkańców.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Zabawa na sto dwa!

Czas karnawału to dylemat – gdzie iść. Proponujemy Ball und Theaterlokal *„Prinz Heinrich”*. Miejsce idealne – centrum miasta, dużo miejsca , ogromny parking… Lokal ten co najmniej dwukrotnie zmieniał właścicieli, a tym samym nazwę. Kolejną była *„General Ludendorf”*.

Ciekawe, jakie naprawdę uroczystości czy zabawy odbywały się w lokalu, który znajdował się na dzisiejszym placu W. Reymonta, dokładniej tam, gdzie dzisiaj hotel Qubus.

Wystrój sali świadczy o tym, że z pewnością miały tam miejsce imprezy noworoczne, karnawałowe. Ciekawe, jaki był ich klimat sprzed stu lat, przy jakiej muzyce się bawili i co spożywali… Czy dzisiaj w ogóle mówi się o klimacie okolicznościowych spotkań?

Charakterystyczne jest znowu to, co już opisywaliśmy w poprzednich Echach – właściciele takich właśnie miejsc na odwrocie wydawanej przez siebie pocztówki zamieszczali dane o sobie, adresie i numerze telefonu lokalu.

Piotr Klimaszewski

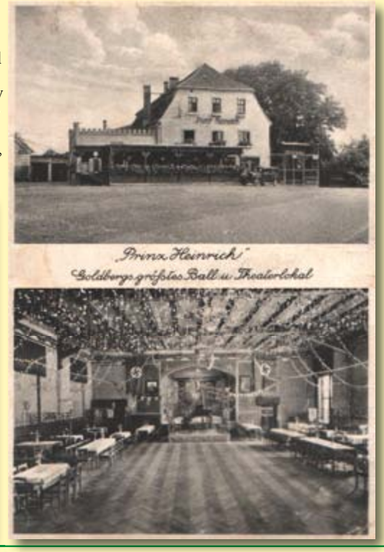

Zamieszczamy dzisiaj fotografię, która dla redaktorów tej rubryki również jest zagadkowa. Ukazała się w 2002 r. w czasopiśmie *Goldberg-Haynauer Heimat Nachrichten*. Wykonana została w styczniu 1942 r. Złotoryjska firma budowlana Schmallera zajmowała się wówczas ściąganiem i wywożeniem w kierunku Hamburga dzwonów kościelnych. W ten sposób tylko nieliczne świątynie dotrwały do końca wojny z ich kompletem. Czy ktoś potrafi rozpoznać, przy którym z kościołów dzieje się akcja, uwieczniona na fotografii? Przypuszczamy tylko, że nie chodzi o żadną ze świątyń złotoryjskich.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

W poszukiwaniu dzwonów

Komu przekażesz część swojego podatku za 2011 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 23 lata. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1
KRS 0000124632

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2011 roku: "Osiem prelekcji na osiemsetlecie", Doroczne spotkanie z Czytelnikami Echa Złotoryi i wernisaż wystawy "Zdjęcia Tygodnia 2010", otwarcie wystawy "800 lat miejskiej historii Złotoryi", odsłonięcie tablicy pamiątkowej w zewnętrznym mauzoleum kościoła św. Mikołaja, współorganizacja II Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów, IV Złotoryjska Pielgrzymka Drogą św. Jakuba, V Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich, pojekt "Razem przez 800 lat, inscenizacja bitwy o wzgórze kościelne w Rokitnicy, X Powiatowy Dzień Regionalisty, XIV Rajd Jadwiżański, Sesja popularnonaukowa "Złotoryjanie", I Sympozjum Ojców Miasta, wydanie książki Aurimontanie, Goldbergerzy, Złotoryjanie, wystawa fotograficzna "Złote imprezy 2011".

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. KSSA ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl,
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480,
fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT ® "Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

VITBIS

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

GALERIA SPONSORÓW

INŻYNIERIA INKOBUD ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"), tel.: 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Józef Banaszek, Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Danuta Sosa, Jolanta Zarębska (korekta), Barbara Zwierzyńska-Doskocz.
Zdjęcie na okładce: Przemysław Bartkiewicz - Wymarsz wojsk z zamku w Grodźcu.